

a także utwory Mozarta i Rossiniego. Wystąpili m. in. Józef Homik, Teresa May-Czyżowska, Jan Czekay, Pola Lipińska, Barbara Mądra, Bogna Sokorska i Barbara Zagórzanka oraz śpiewacy zagraniczni: William Oberholzer i Richetta Manager ze Stanów Zjednoczonych, Kristin Theisen z Norwegii, Vincenzo Puma z Włoch i Teresa Klimuszko z Kanady.

W rozmowach z kierownictwem radzieckim i na konferencji prasowej w Moskwie Kohl zaprzeczył zdecydowanie istnieniu lub odzywaniu na terenie RFN tendencji rewizjonistycznych i odwetowych, starając się zarazem przedstawić dążenie do tzw. „jedności niemieckiej” i zjednoczenia.

ZYWOŹY KRÓLÓW FELIKS KIRYK

„Władcy nie zarządzają bowiem państwem na własną rękę, ale przy pomocy urzędników”
(Z kroniki Mistrza Wincentego)

Uczta na zamku krakowskim, wydana 5 maja 1194 r. przez Kazimierza Sprawiedliwego dla związanych z sobą wielmożów, dworaków i przedstawicieli rycerstwa oraz dostojników kościelnych, miała finał tragiczny. Podczas owego radosnego posiedzenia, przy obfitej jadalni i napitku, zmarł nagle gospodarz, wprowadzając obecnych w osłupienie i przerażenie, a wdowę, księżną Helenę, matkę małoletnich synów Leszka i Konrada, w głęboką rozpacz. Żal po stracie władcy, który był lubiany powszechnie, nie przesłonił jednak faktu, że nieoczekiwany zgon księcia wywołał przede wszystkim problem obsady tronu krakowskiego. Orientowano się w Krakowie dobrze, że w kraju nie brakuje sił, którym nagła śmierć księcia stworzyła szansę udziału w walce o stolicę krakowską. Długo i cierpliwie wyglądał takiej okazji Mieszko Stary, nieugięty i niezmordowany szermierz zasady pryncypatu i idei jedynowładztwa w Polsce; jemu bowiem stolica ta powinna była zostać zwrócona, jako seniorowi żyjących Piastów. Niestety, o obsadzie tronu decydowały już nie naturalne prawa następstwa i statut Krzywoustego, lecz wielmoże krakowskie, nastawieni wrogo do starego księcia i opowiadający się za kandydatem wygodniejszym dla siebie. W takich okolicznościach pojawił się na widowni dziejowej Leszek Biały, starszy syn Kazimierza Sprawiedliwego.

Źródła historyczne nie zawierają informacji o jego dzieciństwie. Nie wiemy nawet, kiedy i gdzie przyszedł na świat. Nieliczne fakty, zanotowane przez Mistrza Wincentego, a odnoszące się do późniejszego okresu życia księcia, pozwalają wnioskować jedynie, że w chwili śmierci ojca liczył nie więcej, niż siedem, zaś jego młodszy brat Konrad, nie więcej, niż sześć lat. Wiadomo również, że wychowywał się pod okiem matki, ale wnet mu to się sprzyrzyło. Kiedy czyniono ostat-

ni nad samymi książętami panował. Aby wykorzystać ród królewski, nareście swobodnie mogli władać...”. Sprzeciw ten okazał się mało skuteczny i stary książę zdecydował się dochodzić swoich praw do Krakowa na drodze zbrojnej, doprowadzając do wojny domowej. Jej finał rozegrał się 18 września 1195 r. niedaleko Jedrzejowa pod wioską Mozgawą, w niezwykle krwawej i nie rozstrzygniętej bitwie, po której Mieszko Stary nie kontynuował już pochodów na Kraków, chociaż rozbił wielmoże małopolskie bardzo się tego obawiali. W tym stanie rzeczy, stojący na uboczu rozgrywek politycznych i rozstrzygnięć wojskowych małoletni Leszek, utrzymał się na tronie krakowskim, tyle że rządy księstwem spoczywały nadal w rękach możnych opiekunów, których pozycja znacznie się wzmacniała.

LESZEK BIAŁY

nie przygotowania do wyprawy na Ruś Halicką ok. 1196 r., zwrócił się do radzących w jego imieniu dzielnic wielmożów krakowskich, aby zezwolili mu na udział w ekspedycji, gdyż nie chce przebywać nadal „w niewiast gronie”. Wynika z tego, że książę nie osiągnął jeszcze lat sprawnych, tym bardziej nie mógł uczestniczyć w krwawej bitwie mozgawskiej w 1195 r. Kronikarz zanotował jeszcze, że po śmierci ojca chłopiec „wzrastał w latach i mądrości...”, ćwiczył się na polowaniu „w miarę młodych sił i rwał się do władania bronią”.

Mimo tego wydarzenia z lat 1194–1195 wyniosły księcia-dziecko na krakowski stolec książęcy i oddał mu władzę we wszystkich dzielnicach kraju, którymi rządził jego ojciec, Kazimierz Sprawiedliwy. O wyborze tym, stanowiącym nie pierwszy już pogwałcenie zasady senioratu, zdecydowali możni krakowscy na czele z wojewodą Mikołajem i biskupem Pelką, ale zaprotestował przeciw niemu ostro Mieszko Stary: „Dziecko wybiera się na księcia, aby pod tym pozorem oni-

Supliwym miesiącu od bitwy mozgawskiej regencja możnych stała się uciążliwa nie tylko dla podraśniętego Leszka, lecz przede wszystkim dla jego matki, księżnej Heleny. Sojusz jej z rozpanoszoną i niemal wszechwładną wojewodą Mikołajem z rodu Gryfitów, zaczął się rysować i doszło wkrótce do zauważalnego oziębienia stosunków. Nie da się dzisiaj odkryć przyczyn narastającej niechęci i konfliktu, pewnie jest jedynie, że księżna miała już dosyć wpływów oligarchii możnowładczej i z troską patrzyła w przyszłość syna. Chłopiec rwał się do czynu. Nie pociągało go na razie rządy księstwem, ale z trudnością godził się na pominięcie jego udziału w polowaniach, a zwłaszcza w wyprawach wojennych.

Nalegania jego odniosły skutek, gdyż wojewoda Mikołaj i podlegli mu dowódcy zgodzili się na udział księcia w kampanii halickiej ok. 1198 r. Jej przebieg był dla niego wysoce pouczający. Zanim osiągnięto granice księstwa zwróciło się doń poselstwo od bojarów, aby łaskawie rozstrzygnąć, czy

chce im panować sam w osobie swojej, czy przez swojego namiestnika, co było równoznaczne z zaproszeniem go na tron halicki. Rychło okazało się, że propozycję tę zgłoszono w celu powstrzymania wyprawy polskiej, gdyż kiedy oddzielił polskie wkroczyły do księstwa halickiego, zamknięto przed nimi grody i usiłowano się bronić. Opor okazał się jednak słaby i Polacy wkroczyli bez większych przeszkód do Halicza, gdzie miejscowi bojarzy mieli błagać Leszka znowu, aby stał się ich księciem i włączył ich do księstwa krakowskiego. Wyprawa została przeprowadzona jednak w celu osadzenia na tronie halickim księcia Romanu Włodzimierskiego i cel ten osiągnęła.

Po powrocie do Krakowa spadek zaufania rodzinny książęcy do sprawujących regencję wielmożów krakowskich pogłębił się jeszcze. Księżna Helena zaczęła ogładać się za sprzymierzeńcami spoza kręgu wojewody Mikołaja i rodu Gryfitów. Wyyskał to Mieszko Stary, który przyszedł do równowagi po bitwie (w której został ranny i stracił syna Bolesława) i znalazł z wdową po najmłodszym bracie platformę porozumienia. W 1198 r. zgodziła się ona oddać tron książęcy w zamian za obietnicę pasowania dorastającego syna na rycerza i zapewnienia mu (wbrew statutowi Krzywoustego) następstwa po sobie: „...niech syn twój odstąpi mi pryncypat, a ja biorę go za syna i odpowiednio do tego ozdobię pasem rycerskim, przywrócę na tron tak, aby godność królewska, bę, pryncypat nad całą Polską utwierdził się w twoim rodzie...”. Mieszko objął stolicę krakowską po raz trzeci, Helena zaś przeniosła się z synami do Sandomierza, skąd zarządzała w ich imieniu pozostałymi dzielnicami (sandomierską i mazowiecką), wyręczając się w rządach wiernym komesem Goworkiem, który powrócił świeżo z Czech, gdzie z woli swojego nieprzyjaciela, wojewody Mikołaja, przebywał na wygnaniu. To, że księżna przystała na propozycję Mieszka, było wynikiem wspomnianego konfliktu z wielmożami krakowskimi Mikołajem, natomiast nie jest jasne, jak to się stało, że przeciw powroci do Krakowa zniechęconego starego księcia, nie wystąpili możnowładcy. Ujawnia to tarcia wewnętrzne w ich obozie i brak jedności. Tym bardziej to interesujące, że nie czynił Mieszkowi wstrętów biskup Pelka, którego Jan Długosz nazywa bratem wojewody Mikołaja.

Ale rezygnacja możnych krakowskich z walki z Mieszkim Starym była tylko chwilowa. Wykorzystując faktyczną (a mo-

(DOKONCZENIE NA STR. 4)

Na Klinice Psychiatrycznej wchodziłam z lekkiem. Dziś sama nie wiem, czy bardziej się bałam agresji psychicznie chorych ludzi, czy też tego, że nie będę umiała z nimi właściwie postępować i złą reakcją, czy niefortunnym słowem sprawię im przykrość, lub ból.

W holu, który — jak się potem okazało — pełnił rolę jadalni, sali telewizyjnej i był miejscem wszelkich towarzyskich spotkań po raz pierwszy zobaczyłam chorych. Jedli obiad. Siedzieli wokół stolików, starsi i młodszy w zwykłych, różnokolorowych ubraniach. Niektórzy rozmawiali, ale raczej cicho, bez uśmiechu, inni stali już w kolejce po obiad. Zwykle, jak w sanatorium, czy w jakiejś zakładowej stołówce. Tylko wnikliwy obserwator mógł dojrzeć w oczach tych ludzi smutek, czy lek, zauważyć polekowe drżenie rąk, a u niektórych nienaturalny nieco, posuwisty, drobny chód. Czasem trzeba tu kogoś zachęcać do jedzenia, ktoś inny wstaje nagle od stołu gnany niepokojem. Przez uchylone drzwi jednej z sal widzę jak pielęgniarka podchodzi do leżącego w łóżku chłopca tak pogrążonego w rozmyśleniach, że nawet nie odwraca głowy, bierze go za rękę jak dziecko, nakłania do jedzenia, a potem karmi przez chwilę, aż wreszcie on sam bierze widelec i powolnym ruchem podnosi do ust kęs za kęsem.

Mam tu pełnić trzytygodniowy dyżur pielęgniarski. Czy potrafię opiekować się tymi ludźmi?

— Pani jest pacjentką? — zagadnęła mnie miłym głosem ładna, drobna kobieta, która po

KRISTYNA ROŻNOWSKA

NA KRAWĘDZI DWÓCH ŚWIATÓW

TRZY TYGODNIE NA PSYCHIATRII



Fot. JERZY ŻAK

skończeniu obiadu wyciągnęła z koszyczka drut i zieloną wełnę.

— Nie, praktykantką — odpowiedziałam. Zamyśliła się, spuściła głowę nad robotką i nie powiedziała już ani słowa.

ZWYKŁY DZIEŃ?

Dzień na psychiatrii zaczyna się długo, leniwie. Już o świcie otwierają się drzwi jednego z trzech pokoiów oddziału geriatrycznego i do holu wchodzi starszy mężczyzna, by zapalić przedwczesnego papierosa. Tu wszyscy dużo pała. Ot, jedna z tysięcy prób uspokojenia chorych nerwów. Ci młodzi pacjenci, słożeni w trzech następnych pokojach śpią zwykle długo i tylko nieliczni udaje się wyciągnąć na krótką, poranną gimnastykę.

Chwalcie łaki umajone. Góry, doliny zielone...

Pieśń niesiona dźwięcznym, pełnym głosem rozchodzi się po całym korytarzu, holu, dobiega do wszystkich sal, do kuchni, dyżurki pielęgniarskiej i obu lekarskich gabinetów. Słychać ją nawet w najodleglejszej sali zwanej materacową. Idę za głosem z sali do sali. To śpiewa jedna z pacjentek, niemłoda, tęga kobieta oddająca pięknym głosem wyćwiczonym w kościelnych chórach. Inni wtórują jej ospale.

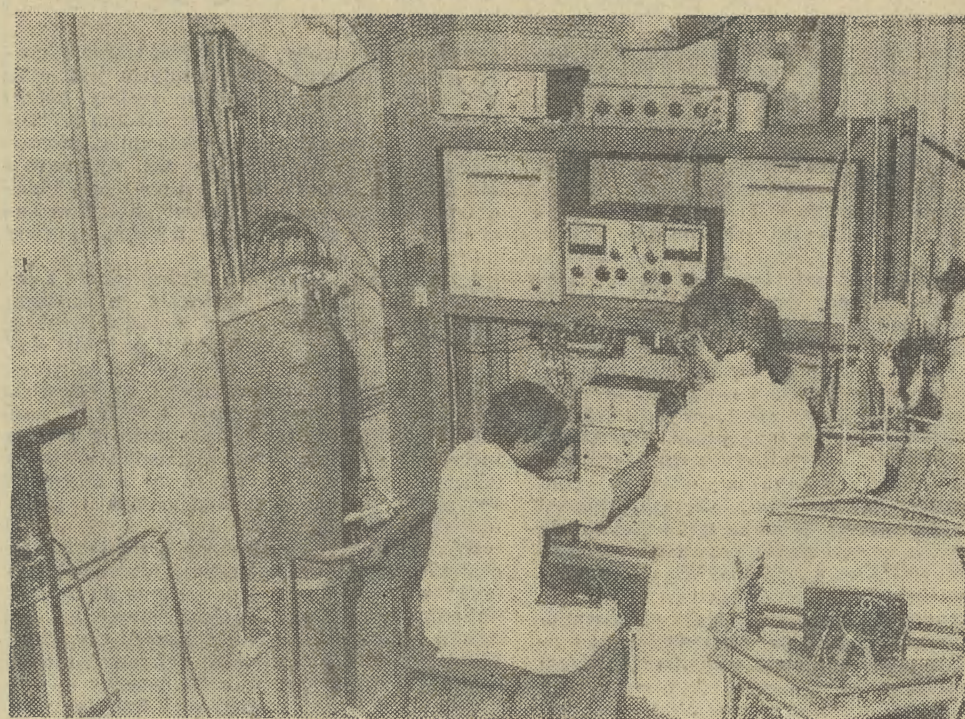
Stukot szczotki zakłóca odgłosy pieśni. Sprzątająca energicznie wypędza z łóżek młodszych, rozespianych pacjentów. Przylgnięci lekami, zmęczeni chorobą idą sennie do toalety z ręcznikami na ramionach. A już przy stoliku kilku starszych pacjentów niecierpliwie czeka na śniadanie. Patrzę ciągle w otwarte drzwi kuchni, skąd wreszcie około dziewiątej wytacza się wózek, a na nim stos czystych talerzy, duży i mały czajnik, równiutkie kostki masła, chleb i plasterki sera. Już, drepcząc drobnymi kroczkami, ustawiają się w kolejce.

Po śniadaniu młodzi pacjenci zbierają się jak co dzień na posiedzeniu społeczności. Powoli, jakby z namysłem, schodzą się do dużego gabinetu, gdzie pracują lekarze, psycholodzy, socjolodzy, słowem cały personel, dzieląc między siebie poszczególne kąty. Tylko trzech pacjentów najbarwniejszych pozostaje w swoich salach. Zresztą nikt tu nikogo nie zmusza do żadnych zajęć.

*

Zasiadają wokół. I teraz nie wiem gdzie pacjent, gdzie lekarz, a gdzie pielęgniarska. Nie różnią się strojem, każdy ma swoje codzienne ubranie. Zgodnie z propozycją starszycy — wybranej, jak co tydzień, spośród pacjentów — przedstawiamy się kolejno. Każdy tu może zadać drugiemu pytanie dotyczące jego osoby, a wszystko, by rozwiązać nieufność i nawiązać autentyczny kontakt. Trzeba odpowiadać szczerze, bo ci chorzy ludzie nie znają maski, dystansu i mają szczególny dar wychwytywania kłamstwa. Są niezwykle wrażliwi, mocniej odczuwają, przeżywają. Właśnie dlatego, że nie byli w stanie znieść przeżyć, jakich dostarczyło im życie, skryli się w nie rzeczywistość, w swój urojony świat. Do kliniki trafiają zwykle w psychozie, a ich leczenie polega — ogólnie mówiąc — na burzeniu muru, jakim odgradzili się od rzeczywistości. Ale oni boją się życia, świata rzeczywistego i tak zwanych zdrowych ludzi. Ten lek czai się w oczach prawie każdego pacjenta. Wnoszą go także z sobą na posiedzenie społeczności. Zgodnie z propozycją starszycy, wypowiadają prawie szepem swoje nazwisko, dodając jeszcze ciszej — „pacjent”. Przedstawia się także personel.

Starszycina jest dość energiczna i zaraz na początku mocno stawia sprawę otwierania na noc okien. „Jest gorąco — argumentuje — w sali spi kilka osób, brak świeżego powietrza... Kto za otwieraniem?” — pyta. Kilka osób popiera ją przez podniesienie ręki. Anemiczna dziewczyna, która siedzi obok mnie, zapytana o zdanie z trudem mobilizuje się do odpowiedzi. Wszyscy taktownie czekają, aż pozbiera myśli i uczyni



...trudno w tym obrazie rozpoznać jedno z laboratoriów Polskiej Akademii Nauk.

Zapewne wielu ludzi przekraczających po raz pierwszy próg gmachu Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, doświadcza uczucia obcowania ze świątynią sztuki. Za efektowną fasadą auli i innych pomieszczeń reprezentacyjnych kryje się drugie oblicze Akademii — instytucji o dziesiątkach placówek rozsianych po całym Krakowie, ścieszonych czasem do granic możliwości, egzystujących w barakach, suterenkach i zaadaptowanych lokalach mieszkalnych. Poznawszy tylko to drugie oblicze, nikt by się chyba nie domyślił, że ma do czynienia z najwyższą instytucją naukową w Polsce, jaką nominalnie jest PAN.

AKADEMIA od kuchennych schodów

NIE BEZDOMNI, ALE...

Samodzielną Pracownię Fizykochemii Soli Stopionych przy ul. Straszewskiego trudno odnaleźć. Parę schodków wiodących z sieni w dół i niepozorne drzwi przywodzą na myśl zejście do lichej dozorówki. Pokój za drzwiami sprawia w pierwszym momencie wrażenie starego, zaniedbanego warsztatu; wnętrza zagrane jakimś urządzeniem, odpadające ze ścian resztki farby, palące się — mimo słonecznego dnia — światło i atmosfera piwnicznej izby. Trudno w tym obrazie rozpoznać jedno z laboratoriów Polskiej Akademii Nauk.

Pomieszczenia pracowni znajdują się jeszcze w dwóch innych punktach miasta. Główna część i kierownictwo zakładu mieści się w jednym z budynków AGH, skąd uczelnia chętnie pozbierałaby się sublokatora. Stosunkowo dobre warunki istnieją w nowym lokalu przy ul. Królowej Jadwigi. W wynajmowanym mieszkaniu zainstalowano mikrokomputer, który nie zmieścił się już przy Straszewskiego. Z wynikami eksperymentów trzeba teraz

biegać do maszyn obliczeniowej przez spory kawałek miasta. W sprawie pracowni interweniował dyrektor Instytutu Chemii Fizycznej PAN w Warszawie, prof. WOJCIECH ZIELENKIEWICZ. Bez widocznego skutku.

Oglądając efektowną ekspozycję przeszło 100-letniego Muzeum Przyrodniczego przy ul. Sławkowskiej, trudno odgadnąć, że jest to tylko pozostałość po istniejącej niegdyś wystawie.

Od 1949 roku — mówi kierujący ekspozycją doc. JERZY ŚWIECICKI — straciliśmy cztery piąte powierzchni. Ekspozycję owadów przerobiono na salę konferencyjną, zlikwidowano salę ochrony przyrody i połowę wystawy plejstocenu, przestawiliśmy wystawę fauny obcej i fauny morskiej. Te ostatnią polecono zamknąć po trzech dniach istnienia. Szereg

(DOKONCZENIE NA STR. 5)

GRZYBY w ATAKU

Rozmowa z prof. prof. Martą i Marianem Doleżalami — organizatorami III Konferencji Naukowej na temat biozanieczyszczeń w budynkach

MARTA DOLEŻAŁ — Najgroźniejsze są choroby wywołane przez tzw. mykotoksyny czyli produkty metabolizmu grzybów. Wszystkie pleśnie, olbrzymia ich większość, które spotykamy się w mieszkaniach i pomieszczeniach zamkniętych należą do gatunków potencjalnie toksynotwórczych, czyli gatunków, które w pewnych określonych warunkach mogą wytwarzać mykotoksyny. Te, z kolei, dostawają się do organizmu, nawet w superminimalnych ilościach, mogą wywoływać groźne skutki. Mogą być wchłaniane ze spożyciem pożywieniem, przez skórę, drogami oddechowymi. Pewne schorzenia są wyraźnie mykotoksycznego pochodzenia. Mykotoksyny przyczyniają się mianowicie do powstawania białaczek, czy innych schorzeń nowotworowych, głównie układu krwiotwórczego. Dzieci wychowywane w takich warunkach znacznie częściej zapadają na choroby alergiczne. Alergenami najczęściej spotykanymi są alergeny grzybowe. Wywołują uczulenia dróg oddechowych, skóry, błon śluzowych, oczu, grzybicę.

— Czy na powikłania porodu i ciąży mają duży wpływ grzyby toksynotwórcze?

MARIAN DOLEŻAŁ — Oczywiście. Były na ten temat prowadzone prace u nas w Krakowie, a przed kilku laty referowano to zagadnienie na zjeździe w Bukareszcie i Tokio. Zaobserwowano mianowicie w przypadkach poronień i w płodach potworkowych duże ilości aflatoksyn. Powikłania porodu i ciąży niewyjaśnione ginekologicznie niekiedy znajdują wyjaśnienie w skażeniu organizmu matki aflatoksynami. Po prostu dziewczęta wychowane w takich domach kumulują w organizmach te metabolity i jak dojdą do wieku biologicznego dojrzałości takie właśnie są tego konsekwencje.

MARTA DOLEŻAŁ — Były robione badania na zwierzętach — u nich ze względu na krótszy okres wydawania nowej generacji łatwiej to można zaobserwować — i wykazano, że zwierzęta żyjące w zaważonych pomieszczeniach inwentarskich czy karmione spleśniałą paszą są narażone na powikłania ciąży i porodu. Nie chce za ostro sygnalizować tego problemu, ale jest to zjawisko bardzo groźne ze względu na genetycznych. Strach myśleć o tym, jakie urodzą się nowe pokolenia jeśli temu w porę nie zaradzi-

— Jakiego typu badania były prowadzone w związku ze szkodliwością grzybów, czy istotnie ich wyniki są tak alarmujące?

MARTA DOLEŻAŁ — Wszystko to, o czym mówimy zostało potwierdzone w badaniach. Pionierem w tym względzie, człowiekiem, który pierwszy zwrócił uwagę na szkodliwość grzybów w sensie mykotoksycznym jest prof. Julian Aleksandrowicz, były kierownik Kliniki Hematologicznej AM w Krakowie. Szukając przyczyn powstawania białaczek wykazał, że jedną z nich są właśnie mykotoksyny. Niezależnie od tego prowadzone były badania w innych krajach. My oświadczenie prowadziliśmy badania laboratoryjne. Pracowaliśmy nad ewentualnym stwierdzeniem, na ile mykotoksyny przyczyniają się do powstawania różnych chorób i jak na nie organizm reaguje. Te reaktywności badamy za pomocą odczynu pozwalającego stwierdzać poziom przeciwciał czyli serologicznie określać reaktywność organizmu.

— Proszę państwa, mówimy tu o zagrożeniach dla zdrowia spowodowanych przebywaniem w mieszkaniach zbudowanych z wielkiej płyty (choć nie tylko) zaważonych, toksynotwórczych. Wszyscy znamy sytuację. Mieszkając jest mało, trzeba budować szybko. Nie ma chyba możliwości, aby od wielkiej płyty tak po prostu odejść i przestawić budownictwo na inne tory. Co więc robić, aby choć trochę poprawić zdrowotność naszych mieszkańców?

MARIAN DOLEŻAŁ — Poprawić wykonawstwo! Przede wszystkim. Tu bardzo dużo zależy od budowlanych. Konferencja temu właśnie miała służyć — uczuleniu kadry budowlanej na złą jakość wykonawstwa i groźne konsekwencje każdego partactwa. Ponadto, od użytkowników też wiele zależy. Niedopuszczalne jest np. suszenie

(DOKONCZENIE NA STR. 6)

Red. — Byliście państwo głównymi organizatorami konferencji na temat biozanieczyszczeń w budynkach i ich wpływu na zdrowie, jaka odbyła się na początku maja na AWF. W konferencji oprócz specjalistów-naukowców wzięli udział również budowlani. Proszę powiedzieć: jaki istnieje związek między budownictwem a biozanieczyszczeniami?

Prof. dr hab. MARTA DOLEŻAŁ (AWF) — Ogromny, biorąc pod uwagę wykonawstwo, stąd cała I sesja poświęcona była temu, jak z punktu widzenia techniki budowlanej zapobiegać wadom, które sprzyjają rozwijaniu się pleśni. Tymi wadami są przede wszystkim przemazanie ścian, zła ich izolacyjność wskutek czego tworzy się tzw. punkt rosy, wykraplanie się wody, większe zaważenie oraz wilgotność technologiczna materiałów budowlanych.

Prof. dr hab. MARIAN DOLEŻAŁ (AM) — Budowlani używają różnych substytutów zastępczych, wielka płyta nie zawsze jest dobrze wysuszona w procesie technologicznym. Chodzi szczególnie o płyty szczerbowe ścian domów, zewnętrzne. One powinny być odpowiednio ocieplone, żeby nie przemarały i wilgoć nie dostawała się do mieszkań. Nierządne materiały budowlane są składowane nieodpowiednio, leje na nie deszcz, powodując dodatkowe zaważenie. Gdy beton nasiąknie wodą, zarodniki pleśni mogą się w nim doskonale rozwijać. Ponadto szpary, dziury powstają w wyniku niesolidności wykonawstwa to wszystko powoduje, że domy z wielkiej płyty po prostu pleśnieją. Pleśnienie ścian w wyniku zaważenia medycyna ludowa od dawna już wiąże z chorobami reumatycznymi. Jakże jeszcze szkodliwe dla zdrowia mogą występować konsekwencje?



(DOKOŃCZENIE ZE STR. 4)
że tylko pozorną opaność księcia w uznaniu Leszka Białego dojrzałego do rządów (co miało się uzewnętrznić w obecnym pasowaniu na rycerza) oligarchowie krakowscy, wśród których nadal przewodził Gryfici, wystąpili zbrojnie przeciw nieobecnemu w Krakowie Mieszkowi Staremu i opanowali zamek oraz miasto. Zamach został przeprowadzony jednak za plecami księżny Heleny i bez udziału posiadającego już lata sprawne Leszka, skoro wielmożni krakowscy nie przekazali mu władzy w stolicy, lecz skupili ją na powrót w swoich rękach niedawni regenci, wojewoda Mikołaj i biskup Pelka. Rzekome czy też rzeczywiste zale Leszka do stryja zostały użyte jako pretekst do pozbicia się z Krakowa Mieszka Starego. Prawdziwe intencje sprawców zamachu uświa-

ślenia Starego i jego następcy. Trudność tkwiła jednak w tym, że w świetle układów z Mieszkim Starym zaprzysiężonych zresztą przez panów krakowskich, stolec książęcy w Krakowie należał się Leszkowi i legalnie objęcie go przez Laskoniego mogło nastąpić tylko drogą rezygnacji zeń przez starszego Kazimierzowca. Znalezione jednak rozwiązania. Zaproponowano Leszkowi tron krakowski pod warunkiem, że pobiędzie się swojego doradcę i opiekuna, mianowicie Goworka, wojewodę sandomierskiego, będącego antagonistą wojewody Mikołaja. Ten ostatni orientował się dobrze, że Leszek warunkowo tego nie spełni i raczej zrezygnuje z Krakowa niż miaby za cenę objęcia w nim rządów pozbawić się swojego przyjaciela i piastuna. Znajomość psychologii go nie zawiodła. Leszek Biały odrzucił istotnie propozycję wiel-

dobnie jak nadmierną pewność sukcesu księcia Romana, który skierował na Sandomierz potężną wyprawę zbrojną. W dniu 19 czerwca 1205 r. zebrane przez księcia Leszka i Konrada ryceistów i wojów ziem sandomierskiej oraz z Mazowsza, dowodzone przez Krystynę, wojewodę mazowieckiego, zadało Rusinom pod Zawichostem drugą okropną klęskę: w krwawej bitwie poległ książę Roman.

Na okres stołeczności Sandomierza za Leszka Białego przypadał intensywny ruch budowlany, obejmujący wzgórze wokół kościoła św. Jana i oddalonej oden o 300 m świątyni św. Jakuba, do której sprowadzono później (ok. 1226 r.) dominikanów, przenosząc prawa parafialne do wzniesionego tu wówczas także kościoła św. Pawła. Na tym obszarze właśnie, naprzeciwko zamku, powstało w pierwszej ćwierci XIII stulecia, nie bez inicyjatywy i nakładów ze strony księcia, Stare Miasto, które w 1241 r. stało się ofiarą najazdu mongolskiego. Był to w Małopolsce drugi, obok Krakowa, ośrodek miejski, lokowany według wzorów zachodnich na prawie czesznym.

Władysław Laskonogi nie utrzymał się w Krakowie długo. Niektórzy uczeni sądzą, że dzielnicą krakowską wladł tylko kilka miesięcy, inni natomiast, że utrzymał się tu dłużej do 1208 r. Istotną przyczyną załamania się rządów krakowskich księcia była wśród możnych rywalizacja między zwolennikami Laskoniego na czele z wojewodą Mikołajem, a stronnictwami Leszka Białego, którzy wzmacniali swoje wpływy po śmierci wspomnianego co dopiero wojewody i po przesunięciu się na ich stronę możnych duchownych. Hierarchia kościelna z biskupem Pelką pozostawała od pewnego czasu w opozycji wobec Laskoniego, który bronił zaciekle inwestytury, czyli prawa mianowania biskupów i obsadzania innych ważnych urzędów kościelnych przez panującego. Kościół dążył natomiast do wyeliminowania siły od państwa i opowiadał się za wyborem kanonicznym dostojników, dokonywanym przez kapitułę bez ingerencji czynników państwowych. Na tym tle znalazł się Władysław Laskonogi w konflikcie również z arcybiskupem Henrykiem Kietliczem, który w 1206 roku rzucił na księcia klątwę.

W takich okolicznościach utracił Kraków, a wrogi mu ugrupowanie możnowładcze zaprosiło na tron krakowski Leszka Białego. (c.d.n.)

FELIKS KIRYK

PRAWA OSOBY LUDZKIEJ (II)

Każda rzecz ma swój czas. Ta myśl tłumaczy, dlaczego Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela pojawiła się w końcu XVIII w., a nie w starożytności czy w średniowieczu.

Zdanie to jest pozornie poprawne, jednakże słynne powstanie niewolników pod wodzą Spartakusa w Rzymie w 71 roku p.n.e. czy — mniej znane — bunty niewolników, które wstrząsały posiadaczami starożytności, wydają się podważać słuszność takiego rozumowania. To prawda, że idea dopiero wtedy stała się „siłą materialną”, gdy ogarnie masę. Ale — ktoś ośmielił się twierdzić, że sercu niewolnika czy pańszczyźnianego chłopca obce było pojęcie prawa do wolności i równości, poczucie godności ludzkiej, ponieważ przyszło im żyć w ustrójach, które im tych praw odmawiały? Czy poddawani wyrażanym torturom „heretycy”, czy palone na wolnym ogniu „czarownice” nie czuły się ofiarami zbrodni wołającej o pomstę do nieba tylko dlatego, że skazano ich w majestacie prawa opatrzonego pieczęcią religijną autorytetu?

Dla większości współczesnych są to już tylko retoryczne pytania. Obowiązek szanowania praw i przekonań innych jest dziś czymś oczywistym. Ale — równie oczywistym, więcej — zgodnym z sumieniem — był wczoraj obowiązek odmawiania wszelkich praw, przesładowania a nawet wręcz tępienia ludzi o innych poglądach.

Przypomniał się w tym miejscu fragment „Potopu”:
„Sam pan Kmicic (...) choć własnych rąk we krwi bezbrońnych nie walał, przeciw patrzył z zadowoleniem na płynącą. Na duszy zaś był spokojny i sumienie nic mu nie wyrzucało, bo była to krew niepoliska i w dodatku heretycka, więc nawet sądził, że miła rzecz Bogu, a zwłaszcza świętym pańskim czyni (...). Dlatego co

wania owej choroby, jakkolwiek trafne, niczego jeszcze nie wyjaśnia. Fanatyzm jest tylko wykwitem, trującym owocem rośliny, której korzenie tkwią zawsze w odpowiednio urobionej glebie. Przecież ziemie wschodniej, prawosławnej Europy, nie znaly ani systemu mordowania „heretyków”, ani nie uległy obłudowi polowania na „czarownice”, który na Zachodzie — jak się szacuje — pochłonął prawie milion niewinnych ofiar.

Powiadają historycy, że bezwzględność i jaką tępieno „herezje” wynikała ze ścisłego, tworzącego jeden organizm, związku państwa z Kościołem. Wyjaśnienie to jest po części słuszne, choć bezpośrednio dotyczy przede wszystkim średniowiecznych herezji społecznych. Ruchów, które krytykowały Kościół i jako część nieodłączną feudalnego ustroju i jako instytucje religijne, która porzuciwszy ewangeliczne idee, gnębiła na równi z możnymi świeckimi pańszczyźnianego chłopca i plebsa miejski.

Rzeczywiście, idea głoszone przez takich apostołów równości społecznej i dobrowolnego ubóstwa rozumianego jako dążenie do moralnej odnowy Kościoła i społeczeństwa, jak np. Ariald i Landulf, Arnold z Brescii czy Piotr Waldo, przywódca „ubogich z Lyonu”, mogły — przerodziwszy się w ruch masowy — zagrozić ówczesnemu porządkowi. Tak jak niemiecko-kościelny panowaniu w Czechach zagroził husytyzm, mający wszelkie cechy ruchu narodowowyzwoleńczego i społecznego.

Przykład husytyzmu zwraca uwagę na kolejne w łańcuchu przyczyn zagadnienie. Otóż nietolerancja i nienawiść wyznaniowa nie osiągnęłyby zapewne takich skrajności, gdyby Kościół nie czuł się i nie był zarazem instytucją polityczną, pracującą potężnie, zgodnie z zasadą, że cel uświęca środki, do władztwa nad światem. „Herezje”, z zasady odrzucające wia-

ŚMIERĆ IDEI

wieczora spokojnie odmawiał różaniec, (...) a gdy krzyki mordowanych zmłily mu rachunek, tedy zaczął od początku, by duszy grzechem nie dalszta w służbie bożej nie obciążać”.

Być może nie jest to najtrafniejsza ilustracja postawionej wcześniej tezy, jako że działo się to czasu wojny, rządzącej się swymi okrutnymi prawami. Nie była natomiast Polska nigdy widownią bratobójczych wojen religijnych, a wśród szanowanych przez pana Kmicica zagonyżków niedługo się znajdował „heretyk”.

Posłuszny się tedy inną ilustracją, już nie z powieści czerpaną:

W roku 1429 papież Marcin V nadesłał królowi Jagielle taką oto instrukcję w sprawie trybu postępowania z „heretykami”:

„A jeżeliby trwali upornie w swoich błędach, nadając ci wolność i władzę napadania zbrojną w Naszym i Kościoła imieniu na ich miasta, miasteczka, wsie i wioski, zabierania ich w niewolę i uwalniając ich z niewolności (...). W każdej sprawie, gdzie idzie o utrzymanie wiary świętej, godzi się i należy owszem działać i występować nie tylko przeciw umowom i obietnicom, ale nawet przeciw prawom przyrodzonym, krewnemu, bratu, ojcu i synowi; ani może się nazywać zbrodnią, cokolwiek jest podjęte w obronie wiary katolickiej”.

Na wieść o straszliwej rzezi hugenotów zwanej „nocą św. Bartłomieja” (24.8.1572), kiedy to w samym tylko Paryżu zamordowano bestialsko czterech tysięcy, a na prowincji dwadzieścia tysięcy bezbrońnych ludzi, papież Grzegorz XIII kazał śpiewać Te Deum, odprawił mszę dziękczynną i przy okazji te oto pamiętne wypowiedział słowa:

„Ci, którzy służą innemu bogu niż nasz i wyznają inną religię, muszą być wypiepieni ogniem i mieczem, a ich miasta zniszczone i spalane”.

Najmniej ważne jest w tym zdaniu kłamstwo popelnione przez papieża (hugenoci byli także chrześcijanami i temuż samemu co katolicy służyli Bogu).

Pisząc o nienawiści wyznaniowej, gwałcącej podstawowe prawa człowieka, nie wystarczy ograniczyć się do opisywania faktów. Ani nawet do charakterystowania zjawiska. Choć warto może, choćby dla porównania powiedzieć, że jeden tylko inkwizytor hiszpański Torquemada skazał na śmierć ok. 10 tysięcy ludzi, a na galery i więzienie — prawie 100 tysięcy. Ze w jednej tylko „krucjacie” przeciw algibansom w południowej Francji (1209—1229) wymordowano więcej osób, na wiek i pięć nie uważając, niż zrobili to władze rzymskie w przeciągu niemal trzech stuleci przesładowań chrześcijan, od Nerona do Dioklejana. Oraz — że wymyślność tortur stosowanych przez „świętą inkwizycję” przechodziła wszystko, cokolwiek można sobie na ów ponury temat wyobrazić.

Nie poddając się więc emocjom jakie mógłby wywołać koszmarny faktów, niezbędne wydaje się poszukać przyczyn tej straszliwej choroby trapiącej przez stulecia znaczną część chrześcijańskiej Europy. Przyczyn tym trudniejszych do zrozumienia, że zarówno kaci jak i ich najwyżej postawieni mocodawcy powoływali się — o zgrozo! — na najpiękniejsze, najgłębiej ludzkie przykazania Wielkiego Gałilejczyka: Kochaj bliźniego jak siebie samego. Miłuj nieprzyjaciół swoich!

Wbrew pozorom, słowo fanatyzm, którym tak często posługujemy się dla scharakteryzo-

wać papieża, stawały na drodze do papieskiej dominacji. Były więc kontestacją przede wszystkim społeczną i polityczną, a dopiero potem teologiczną. Choć pretekstem do przesładowań stawały się najczęściej właśnie względy doktrynalne.

O roli przez te względy odgrywanej świadczą może zaledwie z jaką tępieno „czarownice”. Czarostwo bowiem uważano za najgorszy rodzaj „herezji”. I — o ile okazywało łaskę tym spośród „heretyków”, którzy wyparli się swych „błędów”, o tyle najbardziej napaść skruszona, biorąc Boga za świadka swojej niezachwianej wiary „czarownice”, nie mogła liczyć na litość.

Niektórzy historycy sądzą, iż wybuch powszechnego obłędu zwanego polowaniem na „czarownice” nastąpił „pod wpływem recepty rzymskiego prawa karnego”, które bezwzględnie występowało przeciw „magom i czarownikom” i „czary”, jako zbrodni (maleficium) przeciw życiu ludzkiemu śmierci karało.

Sąd ów jednak nie przekreśla. Nie tylko dlatego, że historia Rzymu nie znała nigdy tego rodzaju „epidemii”, ale również z tej przyczyny, że ofiarami chrześcijańskich ustaw padali niemal wyłącznie kobiety. Ten właśnie fakt wskazuje najtrafniej na doktrynę jako źródło nietolerancji. Gdyż tylko doktryna mogła przemówić do serca i zniechęcić na nie i szlachetny nakaz miłości bliźniego przeproczować w teorie skazującą człowieka na upodlenie, na mękę i śmierć.

Przypomnijmy, że już św. Augustyn (354—430), jeden z najbardziej wpływowych twórców doktryny chrześcijańskiej, ten sam, który dusze niewinnych, ale zmarłych bez chrztu niemowląt, skazywał na wieczne męki piekielne, tłumaczył konieczność mordowania „heretyków” troską o ratowanie ich duszy: „Kara śmierci jest właściwie dla heretyka aktem dobrodziejstwa i miłosierdzia, bo przez nią on sam lub przynajmniej inni od piekielnych mogił się wyzwolił”.

W hierarchii przestępstw „herezja” jest zbrodnią najgorszą ze wszystkich, bo morderstwem dokonanym na duszy ludzkiej.

A czy, z kolei, stosów dla „czarownic” nie wnosiło przede wszystkim rozpowszechnione w pewnej epoce dzieł chrześcijańskiego Zachodu przekonanie o wszechmocy diabła — którego kochanką i służką była „czarownica”? Przeniknięcie zachodniej doktryny kościelnej (kościelnej — nie chrześcijańskiej!) do instytucji prawnoparastwowych, poddanie życia jednostki i społeczeństwa, całego procesu wychowania, bezwzględnej kontroli Kościoła nie pozostało bez wpływu na zaleganie i wynaturzenia nietolerancji. Jednakże ówmy zatrutym ziarnem, które tak złośliwie wydało owoce, była doktryna, rozbudowywana misternie przez pokolenia pobożnych interpretatorów prawdziwej chrześcijańskiej idei. Idei, która mogłaby „przemienić świat”, gdyby jej z rozmysłem nie zamordowano.

WIESŁAW MERCIK

1) Użyte cudzysłowy jest tu konieczne. Raz dlatego, że słowo herezja oznaczało pierwotnie „kierunek”, „szkołę”. Po drugie, należy pamiętać, że dla prawosławia czy Kościoła protestanckich właśnie katolicyzm jest „herezją”. 2) Idea takie powstały również we wspólnocie francusko-kańskiej. 3) J. Ptasnik — „Kultura wieków średnich”. 4) Jak wyżej.



Fragment wystawy „Myśli artysty” w Pałacu Sztuki. Fot. OTTO LINK

Sukces. Wielu goni za nim z wywieszonym ozorem, biorąc to pedzie przeszłości i łamiąc uszytych na drodze, w tym również siebie czasami. Inni stoją z boku i komentują leniwie wszelkie potknięcia i przyspieszenia. Bo im jest wszystko jedno. Oni nie mają faworytów ani rywali, gdyż do konkurencji nie stanęli, lub ruszyli z fałstartu, bez sensu, lecz za to szybko.

Niemniej właśnie oni sądzą najostreż wszelkie poczynania z bezinteresownej zawiści, ujętej w porzekadło „szewc zazdrości kardynałowi, że został papieżem”. Dzięki nim też życie ludzi sukcesu staje się trudne i pełne niespodzianek. Choć może nie. Niespodzianek nie ma, gdyż wszystko biegnie ustalonym torem. Pomienieni kibice (d propos, czy wiedzą Państwo, kim

jest kibic? Jego istotą zdefiniował pewien koniarz — brzdysta, wy-pytany podczas robra o losy zwycięzcy ogiera, klaczy i watacha. Zniecierpliwiony odparł, że oddał je do stajni zarodowej. Jak to, zdziwił się mudiżarz, walał w stajni zarodowej? Co on tam robi? Ano, kibicuje, otóż pomienieni kibice chytły chwałę — każdy wielbi sukces — i czekają, nie dając swojej ofierze żadnych szans, jako że ma ona tylko dwie możliwości przed sobą: kolejny występ, lub zejście ze sceny, czyli przyznanie się.

Obie również złe. Kolejny występ powoduje natychmiastowe porównanie z poprzednim, właśnie uwiecznionym wielkim sukcesem, a przyznanie się, wiadomo. W obu też wypadkach werdykt kibiców jest

Zwierzchnia estetyczna

jednak: XY się skończył. Już nie może, wypaść się, brak mu konceptu etc., etc.

Świadomych tych mechanizmów nie dziwi więc zaledwie ciepłe przyjęcie wystawy Marka Rostworowskiego „Myśli artysty” w Pałacu Sztuki. Wręcz przeciwnie, tak właśnie być musiało, bo przecież Rostworowski, to „Polaków portret własny”, którego obejrzenie było narodowym obowiązkiem, a wnioski wyciągane z tego spektaklu utwierdzały, bądź nawet kstatołowały światopogląd.

Oryginał jest starszy od drzewi gnieźnińskich o kilkadziesiąt lat i bardziej od nich kunsztowny, gdyż pokryty rzeźbą mocno wypukłą, lub nawet pełną, z przepięknie ułożonych fragmentami o najwyżej skali odlewniczej trudności.

Ich historia zaś była burzliwa i dotąd w pełni nie wyjaśniona. Powstały w latach 1152—1154 dla płockiej katedry, skąd w tajemniczych okolicznościach, dostały się do Nowogrodu Wielkiego. Czy przekazał je w darze książę Ziemiomysł na prośbę Jagielly, czy wywieźli je

...skomponował Rostworowski

Wyobraźmy sobie jednak, że „Myśli artysty” skomponował (gdyż rola Rostworowskiego w „Polaków portrecie własnym” i w „Myśli artysty” bliższa jest roli kompozytora czy reżysera, niż komisarza wystawy), ktoś inny. Wtedy to co innego. Wtedy zachwytom nie byłoby końca, tudzież stwierdzeniem w rodzaju „pojawił się nowy Rostworowski”.

Ponieważ „Myśli” wstępuje „Polakom” głównie w okazalści. W percepcji natomiast jest wystawą, na której trzeba trochę więcej podumać. Ci jednak, którym sztuka ta nie jest zupełnie obca, odbiorą „Myśli” również dobrze, jak „Polaków”. Albo nawet lepiej.

Innego typu refleksji dostarczały romańskie drzwi płockie oraz ich dzieje. Wierną, choć wykonaną z podjętego od spisu materiału ich kopię pokazano w rektarzu Franciszkanów przy ulicy ich imienia wraz z krótkim przeglądem techniki odlewniczej, oraz zdjęciami fragmentów dzieła.

Litwini podczas jednego z najazdów, czy też droga ich była jeszcze dalsza i bardziej kręta, nie wiadomo, jako że jeszcze przed stu laty uchodziły za „drzewi signuśkie”, zdobyte w stolicy Szwecji w XII w., bądź „drzewi korsuńskie”.

Ich tarapaty potwierdza przemianę chronologii scen i pewnie, już na Rusi uzupełnione w XV wieku, ubity, skąd wniosek, iż były rozbiierane i ponownie, bez znajomości ich programu ideowego, składane. Ze znajomością ta była raczej licha, świadczą — usadowy — dołną kwatere jak Piłat w credo — centaury, szczyty z łuku: skąd centaury w żywocie Chrystusa i po co? Jakimi meandrami biegła myśl odlewnicza i jego zleceniadawcy?

Bodaj czy nie najwięcej jednak materiału do przemysłu mogą podobne przykłady dostarczyć specjalistom prawa międzynarodowego, oczywiście w wypadku, gdyby hipoteza o ich wielokrotnym przechodzeniu z rąk do rąk, jak to bywa z tępami wojennymi, okazała się prawdziwa. Historia świata zna dużo tego rodzaju nie rozwiązanych zagadek.

JERZY MADEYSKI

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 3)

widoczny wysiłek, by wydusić, że się zgadza. Druga wychodzi w trakcie spotkania. Tu często ktoś wychodzi, nie mogąc do końca zachować spokoju i skupienia. Dyskusja dalej się toczy, a raczej wiece. Wlesia odważyła się przeciwstawić nieco despotycznej starościnie i podaje w wątpliwość jej propozycję. — Czy to będzie bezpieczne? — zastanawia się głośno. — Czy można spać spokojnie przy otwartym oknie, skoro wszyscy wiedzą, że Staszek ma myśli samobójcze?

Na poniedziałkowych posiedzeniach społeczności jest w zwyczaju mówić o tym, jak kto spędził sobotę i niedzielę. Członkowie społeczności wspólnie decydują, kto z pacjentów może sam opuszczać oddział, a kto powinien wychodzić tylko w towarzystwie innych. Wspólnie także planują zajęcia na cały dzień — a więc kino, czy wyjazd do Ogrodu Botanicznego, lub do Parku Jordana? W jeden dzień w tygodniu wyjeżdżają na wycieczki za miasto, których trasy ustala się także na spotkaniu społeczności. Zresztą o wszystkim decydują pospół, przekonując się wzajemnie, iż powstanie wspólny plan. Psychiatrizy i psychologowie, wnieśli między pacjentów, dyskretnie kierując przebiegiem spotkania zabierając głos prawie wyłącznie. wtedy, gdy dyskusja utknie w martwym punkcie.

Po spotkaniu społeczności — psychoterapia, w sali materacowej. Tu tematy rozmów bywały bardziej zawiłe, często intymne. Czasem wystarczy powiedzenie głośno o tym, co tkwi w człowieku głęboko, by choć w części pozbyć się tego ciężaru. Mówią więc o sobie, szukając u innych rady, zrozumienia, współzucia, a każdy uważa, że jego los jest najcięższy, jego przeżycia najbardziej bolesne.

Niedawno, celem eksperymentu, zlikwidowano na tym oddziale wszystkie grupowe terapie i zajęcia, z wyjątkiem jednej w tygodniu, nieobowiązkowej. Zastąpił je miaty indywidualne kontakty chorych z terapeutami. Eksperyment zamierzano prowadzić trzy miesiące, lecz po sześciu tygodniach wrócono do obecnego systemu grupowych form współżycia. Okazało się bowiem, że życie całego oddziału zmieniło się w niekorzystny sposób. Pacjenci spędzali dni w łóżkach nie przejawiając wcale chęci wyjścia z kliniki, by powtórnie zmierzyć się z życiem. Niektórzy wręcz zaczęli przebakiwać o rencie. I choć na ogół chorzy mieli dobre kontakty ze swoimi terapeutami, bali się innych ludzi. „Nie mogliśmy więc dalej prowadzić tego ekspery-

mentu — wyjaśnił jeden z psychiatrów. — Straty w terapii były zbyt oczywiste. Energia grupowa ma dużą wartość terapeutyczną, tylko w reszpe chore, wyizolowany człowiek może odzyskać umiejętność kontaktów społecznych”.

WSTRZĄS

Dwa razy w tygodniu psychiatrzy sięgają po radykalny, lecz bardziej brutalny środek terapeutyczny: elektrowstrząsy. Co prawda dzisiaj zabieg ten niewiele przypomina elektrowstrząsy sprzed kilkunastu lat, tak bardzo zbliżone do przebiegu padaczki. Pacjenci otrzymują wcześniej dwa środki — usypiający i zwiotczający mięśnie, więc tylko drżenie ściszniętej mankietem ręki, do której nie docierają te preparaty i bolesny grymas przebiegający szybko przez twarz świadczą, że między elektrodami, przyłożonymi do zmtyej solą skroni przebiegł przez 0,6 sek. prąd elektryczny o małym napięciu. Jednak choroby nadal bardzo się boją elektrowstrząsów i czasem ten paniczny lęk sprawia, że wbrew zaleceniom, pilną wcześniej ukradkiem lęk wody, co wyklucza zabieg, lub w ostatniej chwili okłamują anestesjologą, że pili, lub jedli tego dnia. Elektrowstrząsami poddaje się raczej chorych w cięższych stanach i to tylko w niektórych przypadkach, a skutki zabiegów bywają zwykle dość pomyślne. „Czy widziała pani te eleganckie kobiety, która wyszła przed chwilą z gabinetu? — pyta mnie psychiatra, gdy głośno zastanawiam się nad wartością elektrowstrząsów. — Po pół roku bezskutecznego leczenia postawiły ją na nogi właśnie elektrowstrząsy”.

Trzy razy dziennie pielęgniarka wychodzi na korytarz z tacą pełną leków ułożonych misternie na miseczkach przykrytych kwiatkami pełnymi misteryj. Pacjenci podchodzą i pod uważnym wzrokiem pielęgniarki zażywają lek. Przekonałam się jednak, że ten rytuał nie jest im najmielszy — pacjenci nie lubią leków, od-czuwają przytkro ich uboczne skutki. „Stosujemy neuroleptiki do dość wysokich dawek, — przyznaje ordynator. — Okazuje się, że w skórażeniu z naszymi metodami psychoterapeutycznymi uboczne działanie neuroleptyków jest stosunkowo niewielkie”. Cokolwiek by sadić o wartości farmakologii w leczeniu psychiatrycznym, trzeba przyznać, że dopiero zastosowanie neuroleptyków pozwoliło na tyle zmniejszyć u chorych będących w ostrej psychozie objawy urojeniowe i lęk, by można było szybko podjąć inne formy terapii.

Pobyt na tym oddziale wynosi — średnio — 33 dni, jest znacznie krótszy, niż na sąsiednim,

geriatrycznym. Gdy ustąpią objawy choroby i pacjent poczuje się lepiej, przychodzi czas, by pomyśleć o jego powrocie do rzeczywistego świata. Jakże bardzo pacjenci boją się tego powrotu. Zdarza się, że wieść o wypisaniu kwitujał naświetlony psychozy, czy depresji. Jest to lęk przed zwykłym, pełnym życiem, ludźmi, obowiązkami, którym nie mogą sprostać i ca-

NA KRAWĘDZI

łym światem, istniejącym poza szpitalnym murem.

TYM POMOSTEM WRACAJĄ

W gabinecie, gdzie zwykle odbywa się posiedzenie społeczności, prócz obrazów wykonanych przez uzdolnionych plastycznie pacjentów i mapy księżycą zdołi ściane, wielbłąd dwubarwny. Na jego nogach obutych w trzewiki kłowna wpisano nazwy wszystkich placówek podlegających klinice, które tworzą system kompleksowej opieki psychiatrycznej. Okazuje się, że część chorych, po ustąpieniu ostrych objawów, zdobywcy choćby pewnej dozy krytycyzmu, czyli tzw. wglądu w chorobę, może się przemieścić do oddziału dziennego przy ul. Zwierzynieckiej, lub do hostelu na Olży. Klinika organizuje też dla swoich byłych pacjentów obozy wypoczynkowe w górach — to ognio opieki psychiatrycznej odnotowane z humorem na... ogonie cyrkowego wielbłąda.

HOSTEL

Do hostelu poszłam z Elżbietą, która tam kiedyś mieszkała. Z ulicy wchodzi się przez mały

Wielki, bo w blazńskiej szacie;
wielki, bo wam z oczu zaszł;
blaznow coraz więcej macie;
niemal blazńskie wiecie;
Salve bracie!

(Stańczyk w „Weselu”
Stanisława Wyspiańskiego)

W tym samym, 1863 roku, w którym zmarł Delacroix, w Polsce wykrwawiało się powstanie styczniowe. W maju owego roku, na Wystawie Sztuk Pięknych w Krakowie, 25-letni, mało komu znany malarz Jan Matejko, wystawił swój obraz pod tytułem: „Stańczyk”. Na wysokim fotelu siedział posepny blazen w szkarłacie, zaparty w przyszłość Polski.

Daje się dostrzec cały łańcuch analogii między tym Polakiem a Francuzem i między „Stańczykiem” a „Śmiercią Sardanapala”. Obaj, Matejko i Delacroix, stali się legendarnymi gigantami malarstwa w swoich krajach. Obaj zrazu postępowi (u Delacroix przejawiało się to zwłaszcza w „Wolności na barykadzie”, a u Matejki w „Rejtanie” i „Kazaniu Skargi”), pogubili z upływem lat ideały młodości i podporządkowali się dyktatorowi ideologicznemu klas panujących, co znalazło odbicie w ich twórczości. Obaj, mistrzowie autoportretu, Stańczykowi i Sardanapalowi ofiarowali własne twarze, gdyż oba te dzieła odzwierciedlały ich własne namiętności. „Stańczyk”, identycznie jak „Śmierć Sardanapala”, początkowo został źle przyjęty, niezrozumiany i niedoceniony. Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie skłóciło wroga obojętności paryskiej Akademii, toteż zainstalował go w Luwru, tak jak tamten do Luwru trafiał na poczesne miejsce w krakowskim Muzeum Narodowym, tułał się po prywatnych kolekcjach. Pierwszym właścicielem, z losowania (!), stał się niejaki Korytko, w którego wilgotnym pokoju uszkodzone już podczas przeprawy płocho zostało na domiar złego podrapane szorstką ściereka w trakcie odkurzenia. Później ci sami ludzie, którzy wydali je na hazard, uczynili je „Stańczyka” swój herb-godło „mądrej” pokory wobec zabiorcy.

Jan Matejko, ojczyzniany maestro historii pisanej piędziem ku ożywieniu i pokrzepieniu serc, ilustrował to, co Kraszewski malował piórem. Kontynuator dzieła tego heroicznego duetu, Sienkiewicz, powie już po odejściu obydwu w krainie wiecznej szczęśliwości i niekończących się zwycięstw Polaków: „Niedostateczną zdajemy sobie sprawę, że Kraszewski razem z Matejką byli dla nas tym, czym dramaty historyczne Szekspira były dla Anglików, z tą ponadto różnicą, że Polska XIX wieku więcej potrzebowała Kraszewskiego i Matejki niż Anglia XVII wieku dramatów o Henrykach i wojnie Róż”. To osobliwe porównanie nie zaszkodziło zbyt wiele Szekspirowi, w każdym razie nie na tyle, na ile pragnął autor tych słów, które — i to jest teraz najważniejsze — oddają Matejce sprawiedliwość.

Był genialnym herodem blaskomiotnej, karnawałowej polskości, lepszym niż malarzem, co nie znaczy, że był malarzem przeciętnym. Nie chcę tego analizować. Technika pędzla et consortes nie jest tym, co interesuje mnie najbardziej. Ale wiem jedno. To mianowicie, że dzisiejsi zażarci krytycy „kiczo” Matejki, zwłaszcza malarze, zwłaszcza „awangardowi”, zemdleliby z wysiłku próbując namalować tak jak on konia lub człowieka. Niewielu z nich zdobyłoby się na wyznaczenie, które wyrwało się w Zachęcie utalentowanemu malarzowi okresu Młodej Polski, Kazimierzowi Sichulsiemu: że w porównaniu z twórczością Matejki cała jego twórczość „nadaje się jedynie do tego, by ją o dę potłuc!”

W dobie królowania sztuki wiel-

kiego nauczyciela narodu, ojca „Grunwaldu”, „Sobieskiego pod Wiedniem”, „Batorego pod Psokiem”, kijowskiej „Złotej Bramy” i innych „hurrapatriotycznych kalkomani”, mega-slide’ów z triumfalnych biatyk, które były i jakoś nie wracają inaczej jak na płótnie i papierze, można było sobie potłuc o wspomnianą część ciała każdy inny rodzaj twórczości, a dokładniej każdy inny temat poza historycznym. Był to swoisty terror kronik, atelier i teatralnych kostiumów, którego ojcem — świadomie lub nie — Matejko był również. Kiedy pewnego dnia przyłapano jednego z uczniów krakowskiej Akademii, który on był dyrektorem, na malowaniu — horrendum! — pejzażu, na wolnym powietrzu, sub sole!!!, reżolutny chłopak usprawiedliwił się tłumacząc, że „to jest właśnie droga, którą król Władysław Łokietek podążał...” itd. Ben trovato.

Należało malować przeszłość, bo nie można było kształtować teraźniejszości, a trzeba było zachować szansę na przyszłość. I on to robił tak, jak potrafił najlepiej.

Niczego w swym życiu nie namalował tak pięknie, tak wstrząsa-



PRAWNO BLAZNA

CZYLI OPowieść o WIELKIM TREFNISIU, W KTO-
REJ ZOSTANIE WYŁOŻONE PRAWO NIEMOCY BŁA-
ZEŃSKIM ZWANE



NA PSYCHIATRII

ogródek do małej willi. W wynajętym przez klinikę, dwupokojowym mieszkaniu stoją obok siebie łóżka i szafki, jak w nadmiernie zagęszczonym domu. W dużej kuchni — duży, rodzinny stół, a na nim świeży chleb i na wpół wypalona, gruba świeca. Tu mieszkają tego domu wspólnie jadają kolacje: cztery młode kobiety i trzech mężczyzn, a często także ktoś z personelu kliniki. Wspólne zakupy, wspólne posiłki — namiastka wspólnego domu. Podobno jedyna to droga, by posiadać sztukę współżycia. Dopiero w hostelu okazuje się, że niektórzy z leczonych w Klinice Psychiatrycznej młodych ludzi nie potrafi wykonać najprostszych czynności domowych: obraca ziemniaków, zrobić zakupów.

Miejsc w hostelu jest jednak mało, toteż z prawdziwą radością pracownicy Kliniki Psychiatrycznej przyjmują na ten cel mieszkanie po Antonim Kepińskim, które ostatnio, po śmierci żony znanego psychiatry, Jadwigi Kepińskiej, zostało przeznaczone właśnie na hostel. Jednak, gdy dziesięć lat temu zmarł prof. Kepiński, część tego mieszkania — duża kuchnia i mały pokój — została przekazana nowemu lokatorowi. Skoro mieszkanie profesora miało ofiarować na hostel, wydaje się słu-

DWÓCH ŚWIATÓW

ne, by w całości przeszło do Kliniki Psychiatrycznej, razem z dużą kuchnią i pokojem, a dla lokatora, zajmującego te pomieszczenia, trzeba po prostu znaleźć inne lokum. Na drzwiach przyszłego hostelu przy ul. Warszawskiej pozostanie wizytówka prof. Antoniego Kepińskiego, a wewnątrz pamiętka po nim. Chyba nie można było lepiej wykorzystać tego domu.

Tymczasem w hostelu, w którym siedzimy z Elżbietą i panią psycholog, trwa remont. Stąd nieporządek zenującego mieszkawców. Elżbieta zachowuje się tu jak gospodyni. Psycholog proponuje jej wyjazd na trzydniową wycieczkę w góry, na którą jadą mieszkawcy hostelu. Elżbieta chce jeszcze dziś prosić o zgodę ordynatora. „Może skoczmy do niego wieczorem?” — proponuje. Personel kliniki żyje z pacjentami w takiej komitywie, że zupełnie nie pojmują moich obiektywów, gdy tłumaczę, że wieczorem nie należałoby chyba zakłócać doktorowi spokoju.

ODDZIAŁ DZIENNY

Dzisiaj na dyżurze popołudniowym wybrałam się z Magdą, dwudziestoletnią studentką, do oddziału dziennego przy ul. Zwierzynieckiej, gdzie tego dnia ma się odbyć towarzyskie spotkanie. Zabraliśmy z sobą Wójtkę. Ten trzydziestoletni, siwiejący przedwcześnie mężczyzna ciągle milczy zaabsorbowany jakimś wewnętrznymi sprawami, a jego twarz jest tak napięta, jakby walczył z niewidzialnym przeciwnikiem. Idzie za nami posuwistym krokiem ze spuszczoną głową, ale ważne, że idzie, że chce iść.

Oddział dzienny, podobnie jak hostel, mieści się w wynajętym mieszkaniu, w którym zachowano atmosferę domową. W dwóch pokojach pracuje nowy Zespół do Spraw Rodziny. Nikt dziś nie wątpi, że rodzina, w której dojrzała choroba psychiczna i dokąd chorey wróci po kuracji, psychica pomocy terapeutycznej.

Po serdecznym powitaniu z zebranymi wokół stołu, Magda idzie prosto do kuchni, by przygotować dla nas herbatę. Przysłuchując się rozmowie zgromadzonej przy stole milczy. Z ożywieniem wspominają zimowy obóz. Ktoś proponuje, by razem pojeść w niedzielę na wycieczkę organizowaną przez Koło PITK złożoną z byłych pacjentów kliniki. Brodaty sąsiad o niebieskich, jasných oczach częstuje mnie czerstwie. Ktoś włączył magnetofon. Śpiewa Demarczyk. Magda zasłuchała się, przymknęła oczy. Zastanawiam się, czy do Wójtki dociera ta melodia. Siedzi, jak zwykle, zgarbiony, milczący. Ktoś zagadnie go czasem, ale na pytania odpowiada krótko, z wysiłkiem — „tak”, „lub „nie”. Tu nikogo to nie dziwi, pełna tolerancja i zrozumienie.

Oddział dzienny, tak jak hostel jest pomostem między życiem szpitalnym, a tym zwykłym, codziennym. Podobną rolę spełnia klub byłych pacjentów. Bo istotnie solidnych pomocy potrzebują, by łagodnie przejść — chronią-

rażliwa, zmęczona chorobą psychikę — ze świata urojonego w ten nasz realny, jakże trudny, a może nawet mniej atrakcyjny.

BOJA SIĘ ŻYCIA WŚRÓD NAS

Nowy system leczenia psychiatrycznego, budowany na humanitarnym stosunku do chorych i głębokiej wiedzy o psychice człowieka, daje nieporównywalnie lepsze efekty leczenia niż tradycyjny. Stanowi on jasną planę na tle dużych, ponurych szpitali psychiatrycznych zamkniętych na cztery spusty. Pośrednie formy leczenia psychiatrycznego — w hostelach, oddziałach dziennych, na obozach i te podjęte przez zespoły terapii rodziny zapewniają prześladanie życia. Taki nowy system leczenia psychiatrycznego tworzą dotychczas tylko ośrodki psychiatryczne w Warszawie i Krakowie. Jest to przysłówowa kropla w morzu potrzeb.

Psychiatrzy mówią: leczenie da efekty, gdy więcej ludzi będzie się zajmować terapią pacjenta. Podobno każdy z nas nosi w sobie potencjał terapeutyczny. Jakież to optymistyczne, ale i zobowiązujące zarazem — wszyscy możemy leczyć i zapobiegać chorobom psychicznym przez odpowiednie zachowanie względem drugiego człowieka. Leczy dobre słowo, uśmiech, przyjaźń, życzliwość.

Tymczasem tych, którym kiedykolwiek w życiu przyszło leczyć się psychiatrycznie, otacza nieufność i lek. Już sama pieczęć Kliniki Psychiatrycznej na zwolnieniu lekarskim wystarczy, by wyrosła wokół człowieka mrok nieufności. Ilekroć barier musi przełamywać zatrudniony w klinice socjolog, żeby wprowadzić wypisanego na leczenie pacjenta do zakładu, w którym pracował poprzednio, lub poszukać mu innego miejsca pracy. Jakież dramaty rodzinne przeżywają ludzie „napiętnowani” leczeniem w tej klinice. I często z tych przyczyn wracają tu znów.

Trzy tygodnie dyżurów minęło. Pacjenci tęgną nam bardzo serdecznie. Spędziliśmy z nimi wiele godzin, rozmawiając o codziennych sprawach, ale także o sztuce, literaturze, o sensie życia i ich nieuzasadnionych — z realnego punktu widzenia — lękach. Odpowiadają nam do drzwi, ale sami nie czują się jeszcze na siłach, by przekroczyć próg. Bo drzwi te prowadzą w świat tak zwanych zdrowych ludzi, którego się boją. Jakos trudno mi przekonywać ich, że jest to nieuzasadniony lęk.

KRYSTYNA ROŻNOWSKA

tyran, wszyscy oni, jeśli nie ma wśród nich prawdy?... I Bóg stworzył blazna.

Blazni pojawili się w starożytności na dworach wschodnich despotów, którzy zapragnęli słyszeć prawdę z ust przynajmniej jednego człowieka, co zapewne było potrzebą fizjologiczną, jak kobieta, jadło, władza, okrucieństwo i oddawanie moczu. Wkrótce blażństwo, czyli mówienie prawdy w oczy panującym, stało się wielkim zakonem, blazen zaś zwierzęciem uprzywilejowanym w dworskiej menażerii. Blazen był jedynym w historii osobnikiem, którego zawodem była naga prawda, odziana tylko w bzułterię drwiny — jedynym, który posiadał wolność mówienia całej prawdy, byle w sposób dowcipny. W dziejach gatunku ludzkiego nie ma drugiej profesji godnej takiego piedestału, jakimi winniśmy blaznom.

Blaznom, a nie kłownom, których zadaniem było wyłącznie pobudzenie do śmiechu wygłupami. Wielkim blaznom, królewskim. Gdzieś w historii blażństwa, może u samego jego zarania, zatęchła się w powszechnej świadomości i w historiografii granica między dwoma zupełnie różnymi, jak piekło i niebo, jak dom publiczny i dom rodzinny, rodzajami blażnowania — między cyrkową bufonadą, a dowcipnym prawdomówstwem u stóp tronu. Gigantyczny kataklizm, jakby wyschła wschodniokanadyjska Zatoką Fundy, słynna z największych różnic między przypływem a odpływem. W efekcie krzywdzi się dzisiaj szlachetny rodzaj blażństwa, synonimując go z kłownadą, co jest idiotyzmem!

Oba gatunki, blazny-kłowny, którzy bawili gawiedź albo dwór, i blazny-prawdomówcy, którzy stanowili często pałacowe lustro sumienia monarchów, mają za praojca blazna ludowego, owego śmieszka z urodzenia, bez którego nie mogło się obyć żadne święto ni uroczystość. Był on w procesie ewolucji blażństwa darwinowskim sakiem-proajcem, z którego wyrosły dwa rodzaje maip: czelkopodobne i homo sapiens, bliskie sobie zewnętrznie, lecz przeciwie żyjące inaczej.

Blazen w wersji maip z maipy królował na ulicy (blazen ludowy), potem zawitał na dwór królewski (nadworny bufon), gdzie miał za sąsiada przedstawiciela drugiego gatunku, i w końcu osiedlił się na deskach sceny (arlekin) i na arenie cyrkowej (kłown). W starożytności sówizdrzałowie tego typu, z twarzami pomalowanymi dla zabawy, byli bardzo popularni. W Atenach zawiązała się nawet korporacja, rodzaj blażńskiego bractwa, które gromadziło się w świątyni Herkulesa. Już samo to było komiczne, żaden z nich bowiem nie posiadał postury Herkulesa, przeciwnie, karły byli w największej ocenie. W Rzymie starożytnym przysposabiano sobie kariowatych blaznów ścisłając ich członki od dzieciństwa rzemieniem i nawet zamykając w pudła aby nie mogli rosnąć (Julia, córka Augusta, miała karła i karliczkę o wysokości dwóch stóp). Czynniono to głównie z niewolnikami, co nie znaczy, że niewolnicy nie posiadali blaznow. Przywódca buntu niewolników sycylijskich, ich samowładczy król Eunus, trzymał na swoim dworze blazna i wraz z nim schronił się w jaskini, kiedy pobił go jego armia.

Nie tylko w świecie antyku. W XV wieku złotowłosa karlica Filipa Burgundzkiego, madame d'Or, oraz „karliczka panny burgundzkiej”, madame de Beaugrant, zwracały powszechną uwagę. Los tych kobietek-zabawek, których wzruszająco smutny wyraz twarzy przekazał nam pędzlem Velasquez, był straszny. W roku 1468 ślusarz z Blois dostarczył na dwór burgundzki dwie obroże żelazne, „żeby jedną założyć na szyję blażnicze Belion, a drugą małpce księżnej pani”.

(d.c.n.)

AKADEMIA od kuchennych schodów

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 3)

czynników wskazuje, że za parę lat Muzeum może całkowicie przestać istnieć.

Dzisiaj prezentuje się znikomą część zbiorów. W posiadaniu Muzeum znajdują się okazy paleontologiczne gatunków zwierząt do niedawna nie znanych jeszcze nauce, o których informacja rozchodzi się tylko w publikacjach naukowych. Słynny nosorożec włochaty ze Staruni — jedyny na świecie egzemplarz zachowany w całości — stoi dziś w remontowanej sali ukrytej przed wzrokiem ludzkim. Tego lata turyści odwiedzający Kraków nie zobaczą nosorożca: remont pomieszczenia zakończy się w najlepszym przypadku jesienią.

Wbrew swej nazwie Muzeum Przyrodnicze nie ma statusu placówki muzealnej. Z formalnego punktu widzenia jest tylko częścią Zakładu Zoologii Systematycznej i Doświadczalnej PAN, a co za tym idzie nie może liczyć na wsparcie miasta ani Ministerstwa Kultury i Sztuki. Od pewnego czasu mówi się o przeprowadze zbiorów do nowych pomieszczeń, a konkretnie do zabytkowego pałacyku przy ul. Kanoniczej 19. Pomijając już fakt, że budynek ten został zdewastowany w XIX w. (zamieniony na kamienicę czynszową dla biedoty) i dziś wymaga kosztownego remontu kapitalnego, można mieć poważne obawy, czy rzeczywiście Dom Kapituły z XV w., o barokowych wnętrzach, jest najwłaściwszym miejscem eksponowania wypchanych ptaków, ssaków i szkieletów zwierząt kopalnych. Poza tym pałacyk jest mały, umożliwia zorganizowanie wystawy na 900 m kw. powierzchni, co nie rozwiązuje problemu.

Muzeum potrzebuje dla zaprezentowania najwartościowszych okazów ok. 3 tysięcy m kwadratowych — mówi zastępca kierownika Zakładu Zoologii Systematycznej i Doświadczalnej doc. HENRYK KUBIAK. — Odpowiadałaby nam jakaś stara szkoła, pod warunkiem, że mieściłaby się w Śródmieściu. Lokalizacja w centrum miasta ważna jest ze względu na liczne odwiedzające nas wycieczki szkolne z całego kraju. Umieszczenie Muzeum w zabytkowej kamieniczce to pomysł zdecydowanie nieudany.

TYLKO DLA WTajemniczonych

Z centrum miasta nie można usunąć Ekspozytury Ośrodka Rozpowszechniania Wydawnictw Naukowych, choć zarazem nie powinna ona zostać tam, gdzie jest teraz Lokal przy ul. Jana 22 jest ciasny, a trafić do niego nie jest łatwo. Przychodzi tu tylko ci, którzy dobrze znają adres. Ta jedyna w swoim rodzaju krakowska księgarnia najwyraźniej nie ma szczęścia. Przyczyną są do różnych możliwości lokalizacji — przy ul. Smoleńskiej i Reja, na rogu Marka i Szpitalnej, wreszcie do budynku spółdzielni mieszkaniowej pracowników nauki, który ma powstać przy Solskiego — ale zamiast gwarancji ostatecznego rozwiązania problemu ciągle pojawiają się kłopoty. W tej chwili nie widać żadnych szans na odpowiedni lokal dla Ekspozytury.

Od lat spełzały też na niczym starania o pomieszczenia dla ekspozycji zbiorów graficznych Biblioteki PAN w Krakowie. Połączone kolekcje rodziny Moszyńskich



...nie widać żadnych szans na odpowiedni lokal dla księgarni naukowej PAN w Krakowie. Fot. OTTO LINK

PO PROSTU: NIE MA PIENIEDZY

Zastępca dyrektora Zarządu Oddziału PAN w Krakowie mgr MIKOŁAJ ZADŁO posiada długą listę potrzeb lokalowych Akademii, konkretnie — 31 pozycji. Od kilku lat na liście niewiele się zmieniło, tylko jedną pozycję udało się całkowicie wykreślić. Ogółem placówkom Oddziału brakuje dziś przeszło 15 tys. m kw. powierzchni. Te inwestycje, które są obecnie w toku, może uda się jeszcze doprowadzić w całości do szczęśliwego końca. O następnych trudno w tej chwili marzyć.

Jeszcze w latach siedemdziesiątych planowano wzniesienie Centrum Placówek Biologicznych, które rozwiązało wiele problemów, w tym także kłopoty Muzeum Przyrodniczego. Mogłoby ono zająć pomieszczenia Zakładu Zoologii Systematycznej i Doświadczalnej — przeniesionego do Centrum. Tam też mogłoby się wreszcie rozwinąć zespół d.s. Biologii Molekularnej prof. WŁODZIMIERZA OSTROWSKIEGO, istniejący do tej pory praktycznie tylko na papierze, a mający podjąć ważne problemy żywienia w aspekcie zdrowotności. Ponadto w Centrum przewidywano lokalizację małego hotelu asystenckiego (50 miejsc) i przychodni służącej całemu środowisku pracowników PAN, którzy obecnie korzystają — niejako gościnnie — z przychodni studenckiej przy ul. Koniewa.

Według starych cen budowa Centrum miała kosztować do 350 mln złotych. Przy stosowanym obecnie mnożniku trzeba by się liczyć z kosztami rzędu 1 miliarda zł. Stawia to pod znakiem zapytania cały zamiar, bo skąd Polska Akademia Nauk, która nie jest dobra prosperującą przedsiębiorstwem miałaby wziąć takie sumy? A przecież potrzebuje najwyższej instytucji naukowej w Polsce nie kończą się na tej jednej sprawie.

LESŁAW PETERS

wadzi własne badania o dużym znaczeniu dla poznania mechanizmów wzrostu roślin i pod względem kosztów wykonywanych prac realizuje przeszło pięć część problemu międzynarodowego. Swoje pracownice ma w pięciu różnych punktach miasta, rozrzuconych w promieniu 10 km.

Taka sytuacja — mówi kierownik Zakładu prof. WŁODZIMIERZ STARZECKI — bardzo komplikuje pracę. Z jednej strony zachodzi konieczność powtarzania aparatury, z drugiej nie wszędzie są warunki dla uruchomienia laboratorium w pełnym tego słowa znaczeniu. Brakuje nam własnego zaplecza: szklarni i komór hodowlanych. Rozbicie lokalowe uniemożliwia prawidłową organizację pracy. Nie mamy warunków do stworzenia zespołów międzypracowniczych, a i koordynowanie działań w ramach problemu międzyresortowego jest utrudnione.

Wspomniana na początku Samodzielna Pracownia Fizykochemii Soli Stopionych zajmuje się innym doniosłym zagadnieniem. Kierowany przez prof. LESZKA SUSKIEGO zespół prowadzi badania elektrochemiczne związane z technicznym zastosowaniem ogniw paliwowych. Celem tych prac jest uzyskanie taniej energii ze źródła nie opartego na klasycznych surowcach jak węgiel i nafta, które stają się coraz bardziej deficytowe i droższe. Zainteresowania Pracowni są odzwierciedleniem pewnych tendencji światowych, które budzą nadzieje rozwiązania energetycznych kłopotów. Kiedy, przy obecnych warunkach pracy, zespołowi uda się osiągnąć wyniki znaczące z gospodarczego punktu widzenia, to już zupełnie inna kwestia.

W przypadku Obserwatorium Sejsmologicznego można powiedzieć, że właściwy „lokal” decyduje o wszystkim.

Jeszcze niespełna 20 lat temu — mówi kierownik Obserwatorium MACIEJ MAZUR — należałoby do europejskiej czołówek. Wpływała na to nie tylko nowoczesna aparatura, ale i lokalizacja na wawelskiej skale, która gwarantowała uzyskiwanie wyników liczących się w świecie. Od tego czasu jednak warunki znacznie się pogorszyły. Na skutek wzrostu natężenia ruchu kołowego w Krakowie, i związanych z tym drgań, zakłócenia ze strony miasta są dziś trzykrotnie silniejsze.

Przeprowadzone ekspertyzy wykazały, że zasadniczą część Obserwatorium należy przenieść do jaskini Kozłarnia na terenie Ojcowskiego Parku Narodowego. Na Wawelu powinny zostać tylko instrumenty dla zachowania ciągłości liczących już 30 lat obserwacji wstrząsów związanych z działalnością górniczą na Śląsku oraz do pełnienia funkcji dydaktycznych, na co do tej pory nie było warunków. Jeśli nie nastąpią nieprzewidziane trudności, przeprowadzka Obserwatorium w okolice Ojcowy po przeszło 10-letnich perturbacjach związanych z odbudową budynku w pobliżu jaskini stanie się faktem w 1985 roku. Dziś jest to jeden z jaśniejszych punktów mapy lokalowych kłopotów Akademii.



TO i OWO

Opiata skarbową podrożala

Jak już informowaliśmy z dniami 1 lipca br. zmianie uległy stawki opłaty skarbowej uiszczanej m. in. przy transakcjach kupna-sprzedaży pojazdów. I tak opłata skarbową przy sprzedaży nowego samochodu nabytego w jednostce gospodarki uspołecznionej wynosi obecnie 25 proc. wartości rynkowej tego pojazdu przy sprzedaży w pierwszym roku od daty nabycia, 12 proc. wartości rynkowej przy sprzedaży w drugim roku od daty nabycia oraz 5 proc. wartości rynkowej przy sprzedaży w dalszych latach.

Dotychczas — przypomnę — opłata skarbową wynosiła w pierwszym roku 20 proc., w drugim roku 12 proc., ale od ceny detalicznej samochodu. Dopiero 5 proc. opłata skarbową w dalszych latach wymierzana była od ceny rynkowej. Można się domyślić, że podniesienie dość znaczne stawek opłaty

Kto wnoszą opłatę skarbową przy sprzedaży samochodu?

— Zgodnie z ustawą o opłacie skarbowej z 1975 r. opłata skarbową przy transakcjach kupna-sprzedaży obciąża solidarnie sprzedającego i nabywcę. Z reguły kontrahenci umawiają się, kto wnieśli opłatę. Czyni to z reguły kupujący, ale często o wysokości opłaty skarbowej obniża jest cena samochodu, o czym powinni pamiętać pracownicy Urzędów Skarbowych.

— Nie wnoszą opłatę skarbową od samochodu kupionego w Polsce za dewizy?

— Opłata jest wnoszona w złotych od wartości rynkowej samochodu. Przy czym opłata skarbową dotyczy w pierwszych dwóch latach wyłącznie samochodów nowych, a więc nie dotyczy np. kupowanych w firmie THZ „POLIMAR”.

— Jak się określa cenę rynkową pojazdu?

— Na podstawie przeciętnych cen stosowanych w danej miejscowości w okresie rzecza-



podaje po raz 369. WOJCIECH MACHNICKI

skarbowej (bo różnica między wartością rynkową, a ceną detaliczną jest co najmniej dwukrotna) ma na celu ukroczenie spekulacji nowymi samochodami i przysporzenie dodatkowych korzyści Skarbowi Państwa. Nie mniej sędzi, jakie to przyniesie efekty (sądzę, że mizerne, jeśli chodzi o ukroczenie spekulacji), dodam tylko, że opłata w wysokości 25 proc. przy obrocie pojazdami jest najwyższą w historii polskich finansów.

Jaki wpływ mieć będzie nowa opłata opłaty na transakcje giełdowe? Przypuszczam, że nową opłatę walczyli się po prostu w cenę samochodu, zaś nabywcy częściej będą korzystać przy ocenie wartości rynkowej z usług rzeczoznawców. Przykładowo — „polonez 1500” w cenie ok. 780 tys. zł (oficjalnie) na giełdzie jest sprzedawany po 1300 000 — 1400 000 zł w zależności od wyposażenia (cena wywoławcza była niekiedy 1500 000 zł, ale nikt po cenie wywoławczej nie kupuje, proszę Urzędów Skarbowych). Przy sprzedaży w pierwszym roku takiego samochodu dotychczas opłata skarbową wynosiła 150 000 zł, zaś obecnie wzrosła do 325 000 — 350 000 zł. W przypadku „fiata 126p” opłata wzrosła przy sprzedaży w pierwszym roku z 50 tys. zł do 130 tys. zł (płacono cena „malucha” to obecnie ok. 520 tys. zł). UWAGA! Nowe opłaty dotyczą tylko samochodów kupowanych w jednostkach gospodarki uspołecznionej. Przy sprzedaży „skody” kupionej w „Polimorbycie” w pierwszym roku zapłaci się 200 000 zł, ale za taką samą nowiutką „skodę” kupioną w SEMEXIE — tylko 50 000 zł (5 proc. od wartości rynkowej 1 000 000 zł).

Ostrożnie z myciem samochodu

Przed upływem 3-4 miesięcy od daty kupna samochodu lub przekierowania jego nadwozia przestrzegam przed myciem pojazdu w myjniach automatycznych. Świeży lakier w tym czasie „sezonuje się” i może dojść do jego zarysowania. Nowy (lub przekierowany) samochód należy myć ręcznie dużą ilością wody. Ale uwaga — latem zanim się przystąpi do mycia samochodu należy nadwozie ochłodzić w cieniu. Mycie rozgrzanego lakieru lub mycie na słońcu prowadzi do zmian w wyglądzie lakieru.

Zyczenia

Zyczę kierowcy białego „fiata 125p” KRH 2880 długich lat szczęścia. Należy mu się te zyczenia, bo przy swoim stylu jazdy raczej tych lat niewiele ma przed sobą. W milionową niedzielną ok. godz. 19 na drodze między Mszą na Dolną a Lubnem podczas wyprzedzania przed niewidocznym zakrętem ratując się przed czołowym zderzeniem, kierowca ten sepełnął mój pojazd na pobocze. Następnie ponownie wyprzedził kolumnę samochodów na zakręcie, potem wyprzedził na skrzyżowaniu i ile koni w silniku odjechał.

SPORT A CIĄŻA

Znane są przypadki kobiet w ciąży, które nie zważając na swój stan, dokonują wyczynów sportowych. Literatura amerykańska wspomina o pewnej „rodeo-girl”, która by zarobić na życie, brała udział w pokazach aż do ósmego miesiąca ciąży. Niedawno prasa francuska pisała o sportsmencie wspinając się na pionowe ściany Fontainebleau na tydzień przed rozwiązaniem. W obydwu przypadkach matka i dziecko na szczęście czują się dobrze.

Chociaż nie jesteśmy w czasach, kiedy zabraniano kobietom wszelkiego ruchu, nawet najbardziej spokojnych tańców, to uprawianie rodeo, alpinizmu i innych karkołomnych sportów jest absolutnie niedozwolone. Najbardziej szkodliwym dla zdrowia i życia jest uprawianie sportów, które wymagają krótkotrwałego wysiłku, jak np. tenis. Za to odpowiednie są: marsze, jazda na rowerze, pływanie.

SPORT A PORÓD

Niewycynowe uprawianie sportu, zwłaszcza marszobiegów i pływania, wpływa korzystnie na sprawność układu krążenia, łagodzi bóle krzyżowe oraz uśmiera ból mięśniowy nóg. Stawowi one specyficzne przygotowanie do porodu. Nie można jed-

KOBIETA I SPORT



nak powiedzieć, że u sportsmenki poród przebiega łatwiej lub trudniej, niż u kobiet nie uprawiających żadnego sportu.

Rada na dziś

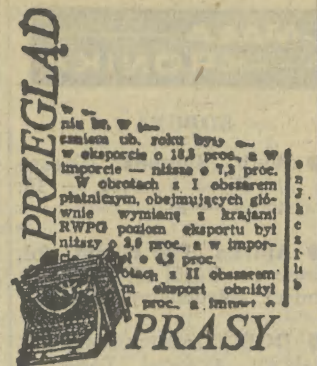
Porzeczki — do rosną „po rzecze”: na brzegach rzek i potoków. W ogrodach uprawiane są od połowy piętnastego wieku, czarna porzeczka pojawia się około 100 lat później.

Na szczególną uwagę zasługują właśnie porzeczka czarna; należy do najzdrowszych owoców świata. Zawiera od 50—400 mg wit. C (w upalne lata wit. C jest więcej). Tej witaminy towarzyszy wit. P — tzw. cytrun, który ułatwia przyswajanie wit. C. Zawiera też wit. K, dlatego medycyna ludowa zaleca ją jako lek przeciwreumatyczny, a okłady z rozgniecionych owoców, lub z liści, z dobrym skutkiem leczą nie gojące się rany żylakowe. Sok z czarnych porzeczki korzystnie wpływa na system krążenia, wzmacnia serce, a także zapobiega gromadzeniu przez tkanki obciążających organizm zapasów wody, leczymy migreny, nieżyty żołądek, kolki, biegunki i inne choroby. Zawiera mikroelementy: bor i jod. Czerwone i białe porzeczki zawierają te same składniki, ale w mniejszej koncentracji.

Zbieramy i jadamy porzeczki dojrzale ale nie przejrzałe. Porzeczki białe, czarne i czer-

wone możemy spożywać na surowo, ale czarne mają charakterystyczny zapach, który nie każdemu odpowiada. W przetworach ten zapach nie raz. Wszystkie porzeczki są niezastąpionym surowcem dla wielu przetworów: dżemów, konfitur i galaretek, kompotów i soków. Znakomicie komponują się w przetworach z innymi owocami: poziomkami, malinami, truskawkami i czereśniami. Jest tylko jeden problem, jeśli robimy dżem z samych porzeczki, co zrobić, aby pesteczki były miękkie, bo przecieranie powoduje, że powstaje galaretkę, jak pisało mnie Pani Jadwiga D. z Krakowa. Co prawda, stare książki kucharskie zawierają przepisy, w których jest mowa o drolowaniu porzeczki, ale tego absolutnie nie radzę robić. Może ktoś z Państwa zna sposób na te pesteczki? Czekamy na listy.

Czerwone porzeczki leczą pęgi. Smarujemy pęgi rozgniecionymi porzeczkami codziennie, przez okres dwóch, trzech miesięcy, od pierwszych zielonych kuleczek, aż do czasu, gdy owoce są dojrzale. Prawdopodobnie jednorazowa taka kuracja likwiduje pęgi na zawsze. Czytamy o tym w książce pt. „Jak można odzyskać i zachować zdrową i piękną cerę?” wydanej w 1912 roku, w Krakowie. (LE)



6 MILIONÓW LUDZI CZeka na MIESZKANIE

„POLITYKA” przygotowała RAPORT W SPRAWIE RYNKU MIESZKANIOWEGO. Obejmuje on aż 12 artykułów, które traktują o tym: jak mieszkać ludzie oczekujący na własne lokum? Ile płać za wynajęcie dachu nad głową? Co i za ile można kupić w stołecznych biurach pośrednictwa? Dlaczego nie udało się akcja: szukamy pustostanów? Na czym polega zjawisko prostytucji mieszkaniowej? czy gwałtowne zmiany w statystyce rozwodów (14 proc. więcej pozwów) nie kryją za sobą omijania niewygodnego przepisu lokalowego (jedna rodzina może mieć tylko jedno mieszkanie)? Dlaczego otrzymywanie mieszkaniarstwa jest tak trudnym zadaniem? Jak trafienie do szóstki w Totolotku? Co robić z „dzikimi lokatorami”? itp.

OPALANIE SIĘ GROZI RAKIEM

Też w „POLITYCE” przedruk (z „The Times”) artykułu pt. „Powrót do parasola”. Lekarze nie przesadzają zalecając powrót do parasola na plaży. Intensywne opalanie się często prowadzi do raka skóry. Najusilniejsze alarmy dotyczą ochrony skóry dzieci, chociaż rak skóry może wystąpić dopiero około pięćdziesiątki, to niebezpieczne uszkodzenia zdarzają się już we wczesnym dzieciństwie. A ciągle widzi się mamy, które na siłę „przebiegają” w 30-stopniowym upale...

KTO LUBI FIRMY POLONIJNE

Refleksje z obrad IX Polonijnego Forum Gospodarczego w Poznaniu zamieszcza „PRZEGLĄD TYGODNIOWY”. Tematem numer jeden była zapowiedź Ministerstwa Finansów podwyższenia podatku dochodowego od działalności firm polonijnych, co wymagałoby zmiany ustawy z 6 lipca 82 r. „Miroslaw Ziach pisze „Kontakty: Polonia — Polska są bacznie obserwowane na granicy. Wszystko co w nich zgrzyta, jest dla naszych wrogów najmilszą muzyką”. I w tym sensie polonijne Forum było próbą nerwów.

Zachęcamy też do lektury „Pogody na jutro” w cytowanym „PT”. Reporter Jerzy S. Mac opowiada o finale sprawy między dyrektorem zielonogórskiej Fabryki Dywanów „Novita” a psychologiem zakładowym (równocześnie działaczem samorządowym) pozbawionym pracy i szanowanym.

PRZEGRACZ SE STONKA

Joanna Osajda pokazała w „PT” na jakich durniów wychodząmy my ludzie walczący od 100 lat bezskutecznie z tym chrząszczem.

REMANENT PO WIZYCIE

„TU I TERAZ” aż w trzech tekstach: piórem Koźmiewskiego, reportażem Janusza Atlasa pt. „Orszak” (jak się pracowało dziennikarom i fotoreporterom, tajemnicze gieldy) oraz felietonem Jana Renna podsumowując wizytę papieża Jana Pawła II w Polsce.

TFX I CO DALEJ

Krystyna Andrzejewska kontynuuje rozmowę z dr hab. med. Markiem P. Dąbrowskim zapoczątkowaną w poprzednim numerze „TIT” na temat nowego leku (wyścig z grasy) TFX. Myśl się c. zastosowaniu go w psychiatrii, w całym szeregu chorób naczyniowych (choroba Buergera, zakrzepowe zapalenie tętnic) przy cukrzycy, goście chorobach alergicznych i nowotworach. Czy tak rozbudowanych nadziei lek nie zawiodł.

NIE KARTKI, NIE TALON, LEcz BONY

„VETO” stwierdza, że wszystkie dotychczasowe pomysły „sprawdliwej” sprzedaży artykułów przemysłowych nie podobały się ludziom. Tygodnik „każdego konsumenta” ma propozycję nie do odrzucenia — bony handlowe. Szczegóły w najnowszym numerze. Tamże zdjęcie przedstawiające teren ofiarowany na potrzeby loterii „DOMEK VETO” przez czytelnika i listy tych, którzy poparli pomysł: mieszkaniowiec z pół litra (dosłownie kosztował 500 zł).

Dyrektor techniczny Fabryki Samochodów „Star” w Starachowicach wyjaśnia w „Veto” co się stało z samochodem papieża z pierwszej wizyty w Polsce w 1979 roku.

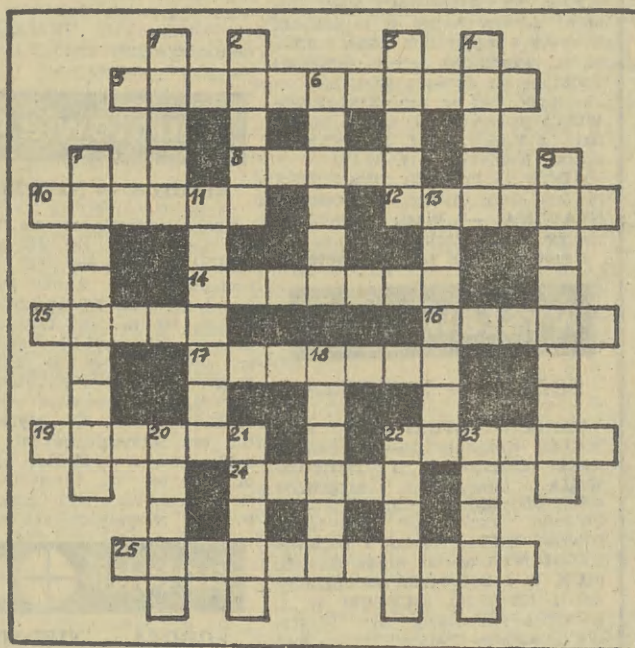
ŁAMIGŁÓWKA z „AGORY”

Do diagramu wpisać wyrazy 6-literowe oraz 3-literowe a następnie litery wyrazów 3-literowych wykreślić z wyrazów 6-literowych. Nieskreślone w lewej części diagramu litery czytane rzędami poziomymi utworzą rozwiązanie zadania.

1. Doniekie Zagłębie Węglowe — przepływa przez Przemyśl.
2. Słynny park wiedeński — niedopatek papierosa.
3. Dośrodkowanie piłkarskie — zaśladał na rosyjskim tronie.
4. Jon przeciwny anionowi — jednostka prędkości równa 1 cm/s.
5. Rodzaj sztuki — nie było nas było on.
6. Inaczej szadok — napisał „Głowy do postoty” i „Wielki świat Capowit”.

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWKI Z NR 148 „GK”

„Brzech nie ma uszu — gadanie go nie cieszy”. Nagrody otrzymują: A. Michalczyk — Bochnia, R. Szarowicz — Gorlice, A. Pawlik, M. Wiśniewski, K. Adam — Kraków.



Pozłomo: 5. przypisana do losu tułacza, 8. zatrzymowała w finale „Zemsty”, 10. po-

K-R-Z-Y-Ż-Ó-W-K-A

napastliwość, często wywołane uczuciem strachu, niepewności, 15. broń orla, 16. ten przysłówkowy nocy halsujący, 17. postugiwali się piśmem węzłowym na sznurkach, 19. jarzyna do wędlin, 22. w star. domu rzymskim środkowa izba bez okien, z czworobocznym otworem w pułapie, 24. silne, krótkotrwałe wzmieszenie, 25. sam siebie uwiecznił przedem.

Ponowio: 1. przed plugiem, 2. balsam dla uszu, 3. skrzydlaty rumak, symbol natchnienia, 4. na zaozarnej roli, 6. na szczytki i podzie, 7. PKO duszgroza, 9. utwór dramatyczny o treści pasyjnej, 11. dzieło tkackie, 13. najtwardszy z minerałów, jeden z najcenniejszych kamieni szlachetnych, 18. w średniowieczu stolica Asturii, w hiszp. wojna domowej (1936—38 r.),

rejon ciężkich walk, 20. przemysłowe przedmieście Belgradu, 21. lotnisko Jugosławii, port rzeczny, 21. zielonkawy na brzoze nazywany patyna, 22. zapewniają powodzenie, dają przewagę w rywalizacji, 23. po wschodzie Słońca.

Rozwiązania prosimy nadsłać do dnia 15.VII.1983 r. (decyduje data stempla pocztowego) z dopiskiem na kopercie: „Krzyżówka nr 27”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, redakcja rozlosuje nagrody w postaci 10 książek.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 25

Pozłomo: 5. nudziarstwo, 8. edykt, 10. komtur, 12. abakus, 14. wartość, 15. Amati,

16. wiatr, 17. „Szczeki”, 19. Edison, 22. Santos, 24. areal, 25. dziedzictwo.

Ponowio: 1. tupet, 2. szmer, 3. psota, 4. swada, 6. azymut, 7. kolumnada, 9. kunkktor, 11. urwiszko, 13. bówina, 18. zwier, 20. susza, 21. najem, 22. słuch, 23. nazwa.

NAGRODY WYLOSOWALI

Nagrody zostaną wysłane pocztą.



z Temidą

Auto nie było ani nadzwyczajnie ekskluzywnie, ani nowoczesne. Najwykleszy, rolniczy tarpan, który w czasach samochodowych braków posiadała na giełdzie nieproporcjonalnie wysoka cena. Właśnie rolniczy tarpan stał się przyczyną rozlicznych perturbacji.

Pan K. ma nie tylko prywatny zakład malarski, ale także 18-letniego syna Adama. Syn zamierza zostać malarzem i stać się jego edukacją w zasadniczej szkole zawodowej, Adam pomagał często ojcu w wykonywaniu prywatnych zamówień na malarskie usługi. Starzy i młody rzemieślnik żyli w przykłądnej zgodzie, nie więc nie wskazywało na to, że młody malarz wyniesie starszemu malarzowi taki brzydki numer. Numer — jeżeli wszystkich umówić jedynie w kategoriach złotych — wart około 600 tysięcy.

Malarz K. przed kilkunastu laty dokonał modnej wówczas przedpłaty na tarpana. Wyłożona forsa zmateriałizowała się w 1982 roku. Przed domem rzemieślnika stanął samochód, do którego i sprzęt rzemieślniczy zapakować można, i od biedy wybrał się z rodziną na niedzielną wycieczkę. Jazda bez komfortu uprawiała, ale zawsze to przecież na własnych kółkach.

Z tarpana często korzystał adept malarskiego fachu — czyli Adam K. Na jedną z wycieczek nad Jezioro Rożnowskie zabral z sobą kumpła, a wśród nich Piotra S. Młodzi ludzie, kiedy mieli już dość kąpieli w ciszy wieczoru, zaczęli toczyć egzystencjalne dyskusje. Życie miałyby tylko wtedy sens, gdyby człowiek miał dużo, bardzo dużo forsy, gdyby nie musiał ciężko tyrać, a jedynie bawić się. Kiedy ci młodzi tak utyskiwali nad brakiem mamony, kiedy Piotr S. marzył głośno o radościach dostępnych dla ludzi mających, usłyszał propozycję Adama K.: „Piotrze, gwizdnij samochód swojego ojca, to będziemy mieli pieniądze”. Piotr S. chwile się zastanowił, a potem całkiem serio odparł: „Trzeba tę kradzież odpowiednio przygotować”.

Po tej wycieczce do Rożnowa chłopcy rzeczywiście złożyli zgubę prawa jazdy. Otrzymał tzw. wtórnik, a fakt ten umożliwił synowi rzemieślnika wreczenie „wynajętych” złodziejom autentycznego dokumentu niedozwolonego przy późniejszej transakcji sprzedaży wozu. 11 grudnia ub. r. zatankowany tarpan stanął przed domem rodziny K., Adaś wrócił do domu przed godziną 22, o alibi, niepodważalne zresztą, postarali się również Piotr S.

W nocy z 11 na 12 grudnia ub. r. kradzieży tarpana dokonali 18-letni Krzysztof D. (uczeń technikum) i jego rówieśnik Andrzej K. Posiadając dorobione klucze (wreczył je — jak pamiętamy — Adam K.) bez trudu dostali się do wnętrza samochodu, bez trudu także uruchomili silnik. Popędzili na Śląsk.

Cel jazdy był jasny: giełda, sprzedaż, podział forsy. Zgodnie z tym planem o godz. 7.00 zjawił się na giełdzie w Chorowcu. Nie działali — trzeba to przyznać — pochopnie. Zbyt niska cena wzbudziła by mogła podejrzenia, zbyt późny pośpiech mógłby spowodować patrol MO.

Klientów było wielu. Trwały targi o każdy tysiąc, w końcu chłopcy zdecydowali się na obniżenie ceny z 550 tys. zł na 520 tysięcy. Tarpan natychmiast znalazł nowego właściciela. Spisana została umowa, przeliczone pieniądze. Wczesnym popołudniem Krzysztof D. i Andrzej K. wrócili ze Śląska do rodzinnego miasteczka.

Adam K. przed planowanym terminem przestępstwa (wreczył je — jak pamiętamy — Adam K.) bez trudu dostali się do wnętrza samochodu, bez trudu także uruchomili silnik. Popędzili na Śląsk.

Auto taty